Nr. 207. Lwów. — Piątek dnia 11. Września. Rok 1885.

Wychodzi codziennie z wyjątkiem dni poświątecznych.

Cena Prenumeraty:

We Lwowie bez dostawy:		Na prowincji z przesyłką pocztową:	
Miesięcznie	1 złr. 50 ct.	Miesięcznie	2 złr.
Kwartalnie	4 „ 50 „	Kwartalnie	6 „
Półrocznie	9 „ — „	Półrocznie	12 „
Rocznie	18 „ — „	Rocznie	24 „

Za dostawę do domu miesięcznie 25 centów.

Numer kosztuje 10 centów.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

Prenumeratę i ogłoszenia przyjmują:
WE LWOWIE: Administracja *Przeglądu* ul. Jagiellońska l. 3.
W KRAKOWIE: Księgarnia Krzyżanowskiego w Rynku.
W WIEDNIU. *Prenumeratę*: Zeitungsbureau Goldschmiedt (I. Wollzeile Nr. 6). — *Ogłoszenia*: G. L. Daube et Comp. Singerstrasse 11. — M. Dukes, Schulerstrasse 1—3. — Haasenstein et Vogler, Wallfischgasse 10. — Moritz Stern, Wollzeile 22. — Alois Herndl, Schulerstrasse 14. — Rudolf Mosse, Seilerstädte 2.
OGŁOSZENIA przyjmują się za opłatą 10 centów od wiersza petitowego za pierwszy raz, a 5 centów za każdy raz następny.
NADESŁANE w cenie 30 centów od wiersza.

Rękopismów Redakcja nie zwraca.

Dziś: Prota i Jacka | Wschód słońca g. 5 m. 38 | Długość dnia g. 12 m. 36
Jutro: Gwidona Wyzn. | Zachód „ g. 6 m. 14 | Ubyło „ 4 minuty

Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.

Adres Redakcji: — Ulica Sykstuska L. 45.
Adres Administracji: — Ulica Jagiellońska L. 3.

Przegląd polityczny.

Patentem, podpisanym przez cesarza dnia 5 b. m. w Schönbrunnie, zwołano Radę państwa nie na 23, jak doniósł telegram, umieszczony w niedzielnym numerze naszego pisma, lecz na 22 b. m. Równocześnie kancelarja Izby poselskiej zawiadamia, że otwarcie posiedzeń nastąpi tego dnia o godzinie 11 z rana. Do tych urzędowych wiadomości dodajemy, że wedle informacji *Fremdenblattu*, uroczyste otwarcie Rady państwa mową od tronu nastąpi o kilka dni później. Rada państwa rozpocznie się tedy we wtorek czwartego tygodnia tego miesiąca, a uroczystość wygłoszenia mowy tronowej w Burgu odbędzie się w sobotę.

Komitet lewicy zbierze się 19 b. m. pod przewodnictwem p. Herbsta na narady nad organizacją stronnictwa, które dziś stoi jeszcze na rozdrożu, nie mogąc zgodzić się co do rzeczy oczywiście najgłówniejszej dla każdego obozu parlamentarnego, bo co do tego, jak ma lewica wejść do Izby: czy jako jeden zastęp klubu niemieckiego, czy też jako koalicja kilku frakcyj. Antagonizmy są wielkie i zasadnicze w łonie liberalno-niemieckiego stronnictwa, ale silnie je spaja żywa nienawiść do żywiołów narodowych i konserwatywnych. Wypadnie więc zapewne tak, że frakcje lewicy będą między sobą kłóciły się często, ale do walki z prawicą pójdą ręka w rękę.

Z naszych listów wiedeńskich czytelnicy wiedzą, jak rzeczy stoją w obozie prawicy; o tem więc tu mówić nie potrzebujemy. Możemy być pewni, że pod wodzą tak znakomitych mężów, jakiemi są przywódzcy klubów prawicy, zwłaszcza pp. K. Grocholski i hr. Hohenwart, a przy gorliwej pracy tylu zacnych, światłych i wytrawnych posłów, w jakich obfituje obóz prawicy, stronnictwo to wejdzie do Rady państwa jako karne wojsko, które cierpliwością, spokojem i wytrwaniem przeprowadzi wszystko, co potrzebne państwu i krajom i znacznie posunie naprzód rozpoczęte w przeszłej kadencji dzieło ukojenia międzynarodowych zatargów, wywoływanych sztucznie przez nieprzyjaciół teraźniejszego systemu.

Kto uważnie śledził wiadomości telegraficzne o przebiegu sprawy między Hiszpanją a Niemcami, ten niezawodnie nieraz musiał się dziwić ich radykalnej między sobą sprzeczności. W świetle telegramów nietylko z dnia na dzień coraz inaczej ta sprawa się przedstawiała, ale nawet tego samego dnia z jednego źródła szły różowo zabarwione nadzieje, że wszystko się jak najlepiej ułoży, a z drugiego — płynęły ponure zapowiedzi nieuniknionej burzy wojennej. Tej sprzeczności nie można wytłómaczyć względami na grę giełdową, bo wszystkie giełdy, nauczone niedawnemi stratami, poniesionemi w skutek raz alarmujących, to znowu przesadnie pokojowych wiadomości podczas anglo-rosyjskiego zatargu, teraz zachowywały się z wielką rezerwą i pomimo wielkiej obfitości gotówki, nie grały ani na *baissę*, ani na *haussę*. Dziwną sprzeczność doniesień telegraficznych niektórzy tłómaczą tem, że ostatecznie dla wielu interesów wojna jest pożądaną, dla innych zaś szkodliwą, więc że telegramy wyrażały niejako życzenia tych lub owych kół. Niezawodnie wiele przemawia za trafnością tego mniemania, pamiętać jednak trzeba i o tem, że olimpijsko spokojne zachowanie się niemieckiego rządu było prawdziwą niespodzianką dla wszystkich. Przyzwyczajono się do tego, że ks. Bismark nigdy nie jest w kłopocie, gdy trzeba komuś wypowiedzieć wojnę; wszak dawniej, za lada drażliwe słówko, już brał się do miecza; więc oczywiście mniemano, że dla Hiszpanji nie zmieni swych zwyczajów. Stało się jednak inaczej, i teraz w głowę wszyscy zachodzą, badając: dla czego?

Sądzimy, że niedalecy będziemy prawdy, jeśli powiemy, iż dla tego, że kanclerz niemiecki przerachował się i zapóźno spostrzegł swój błąd, a jako człowiek, któremu dotąd szczęście bezprzykładnie sprzyjało, od razu równowagę stracił w tej niezwykłej mu pozycji. Napoleon I., także dziecię szczęścia, zwykł mawiać: „pięć szóstych powodzenia opieraj na ścisłym rachunku i zaledwie tylko jednę szóstą zdawaj na los szczęścia — bo nieszczęściem jest wielkich ludzi, że zwykle miewają szczęścia więcej niż potrzeba“. Jednak sam pod konice życia za dużo szczęściu zaufał, i — upadł.

Ten sam los niezawodnie nie spotka niemieckiego kanclerza za jeden błąd w sprawie Karolinów. Ale teraz właśnie dyryguje on inną jeszcze akcją, która już nie jest nieświadomym błędem, ale jest krzywdą wyrządzoną ludziom całkiem niewinnym, a przytem nieszczęśliwym zawsze. Ufamy w sprawiedliwości Bożej, że nastąpi czas, w którym kanclerz niemiecki, pisząc swe pamiętniki w spokoju, nieprzerywanym już żadnemi państwowemi sprawami, przyzna się do tego, co w części wyznał o sobie Metternich, a w zupełności Napoleon I. Obaj ci wielcy ludzie upadek swój bodaj w części a słusznie przypisywali zachowaniu się swemu względem naszego narodu.

W dyplomatycznych i publicystycznych sferach Berlina panuje spokój, mający wszystkie pozory gwałtownego trzymania na wodzy wzburzonej dumy narodu, który przez dwadzieścia lat dyktował Europie prawa. Bez żadnych uwag *Nordd. Allg. Ztg.* przytacza z angielskich dzienników powieść o chwilowem zajęciu przez niemiecki okręt wyspy Yap, co właśnie tak silnie wzburzyło wszystkie warstwy w Hiszpanji. Tendencją powieści jest uniewinnić Niemców, bo oto rzecz tak się niby miała. Okręt hiszpański zatknął na wyspie flagę państwową i powiewała ona przez cały dzień; ku wieczorowi zdjęli ją Hiszpanie i odpłynęli, jak gdyby całkiem zrzekając się Yapu. Wtedy kanonierka niemiecka, przypatrująca się temu wszystkiemu spokojnie, w nocy przybiła do brzegu i zatknęła na nim sztandar niemiecki, zajmując w ten sposób ziemię, której przed paru godzinami zrzekli się Hiszpanie. Gdy wszakże następnie się okazało, że zdjęcie flagi hiszpańskiej i odpłynięcie okrętu wcale nie oznaczało zrzeczenia się wyspy, Niemcy natychmiast poleciły swej eskadrze na wodach archipelagu karolińskiego nie tworzyć żadnego „dokonanego faktu.“

Opowieść ta, powtórzona przez kanclerski organ bez żadnej uwagi lub zastrzeżenia, nabiera znaczenia ekskuzy i już trudno więcej żądać od Niemiec, które nawet, jak dziś donoszą, nie zażądały jeszcze satysfakcji za zniewagę wyrządzoną ambasadorowi.

Takie wzburzenie ludu, jakiego sceną była i jest jeszcze Hiszpanja; takie rozgorączkowanie tłumów politycznie niewyrobionych, a zawsze krewkich i skłonnych do przesady — musi bezwarunkowo złe wydać owoce. Biada dziecku mającemu siedm nianiek; biada choremu leczonemu przez znachora; biada państwu, za którego ster ujmą ludzie nieprzygotowani do tej pracy, wymagającej ogromnego doświadczenia i wiedzy; zaprowadzą oni nawę na podwodne skały. Ta prawda, tysiąckrotnie sprawdzona, powtarza się teraz na Hiszpanji, gdzie, według dzisiejszych telegramów, tron chwiać się zaczyna. Gdyby upadł, Hiszpanja znowu zapadłaby w owę nicość polityczną, z której z takim mozołem zaczęła się dźwigać w ostatnich latach.

W akcji przedwyborczej w Niemczech wielkie znaczenie będzie miało zebranie reprezentantów stronnictwa postępowego, zwołane do Wrocławia na 12 i 13 b. m. Na nim ma zapaść uchwała co do projektowanego kompromisu z narodowo-liberalnem stronnictwem. Jeśli ów kompromis stanie, to z wrocławskiego okręgu wyjdzie jeden kandydat narodowo-liberalny i dwóch postępowych; jeśli nie stanie, to narodowo-liberalni połączą się z konserwatywnymi i ten wypadek będzie dyrektywą do postępowania w całych Niemczech. Z tego mianowicie względu zebranie wrocławskie ma doniosłe znaczenie. W Poznańskiem ruch przedwyborczy ogromnie się rozwinął. Prędko, z ogromną zgodnością wybrano już komitety powiatowe, lubo jeszcze nie wszędzie. Hasło dał Poznań, w którym zebranie wyborcze odbyło się 5 b. m.; za nim wnet poszły inne miasta i okręgi. Wydalania pruskie rozniecił jasny i gorący płomień uczuć narodowych. Mocniej niż przedtem społeczeństwo czuje potrzebę skonsolidowania się i obrony. Żywotność polska, nazwana przez *Moskiewskie Wiedomosti* „hydrą“ polską, jest istotnie hydrą w tem znaczeniu, że tam gdzie narodowi naszemu jeden członek odetną, — wnet sto nowych wyrasta.

Oficjalnie już naznaczono wybory we Francji do Izby deputowanych na 4 października. O wtorkowej mowie p. Brissona wiadomości jeszcze nie mamy, ale natomiast otrzymaliśmy doniesienie o kandydackiej oracji byłego prezydenta Izby, p. Floquet'a, mianej w Perpignanie. Była to mowa jaskrawo radykalna, w której mówca stanowczo żądał rewizji konstytucji w duchu czerwonym. Minister Ribot zapowiedział wielką mowę w Arrasie za dni kilka, a minister Goblet, kierownik spraw wyznaniowych, skorzystał ze sposobności i otwierając w Havrze międzynarodowy kongres nauczycieli, mówił długo i szeroko o nauczaniu ludu, o niesieniu światła, które wyrówna wszystkie różnice społeczne, zjednoczy naród w dążeniu do ideałów. Ciekawa rzecz, jakie to będzie światło nieożywione wiarą, które zagasić tak gorliwie się stara dzisiejszy rząd francuski.

We wtorek otwarty, wczoraj przystąpił do obrad nadzwyczajny sejm szlachty livlandzkiej, zwołany do Rygi po to, aby dobrowolnie się zgodził na zmiany w statucie krajowym w duchu życzeń rosyjskich, zaakcentowanych dosadnie ostatniemi zarządzeniami. Niezmiernie ciekawy będzie przebieg tej sprawy.

Z dzisiejszego londyńskiego telegramu widzimy, że spór o zulfikarski wąwóz już poszedł *ad acta*.

Bracia nasi, tem drożsi naszemu sercu, że nieszczęśliwi, cierpiący za wytrwanie w wierze praojców, odezwali się głosem niezmiernie wymownym. Zapomniani może już przez wszystkich, ale nie przez społeczeństwo nasze, będące przy nich zawsze wszystkiemi uczuciami swemi, zawołali oni o litość pokornie, z prawdziwie chrześciańską łagodnością, a jednak daremnie!...

Z południowej Rosji przysłano *Czasowi* kopię prośby wygnanych unitów do synodu petersburskiego, która pozostała bez skutku i bez odpowiedzi. — Spieszymy za *Czasem* podzielić się z czytelnikami tym nowym przyczynkiem do ponurej historji prześladowań religijnych.

Do najświętszego rządzącego Synodu administracyjnie zesłanych włościan Siedleckiej gubernji, byłych unitów, wyznających od urodzenia wiarę katolicką.

Prośba:

W r. 1874 przy przyłączeniu Unitów Chełmskiej dyecezji do prawosławia, administracja Królestwa Polskiego zażądała i od nas niżej podpisanych również dać zobowiązanie, że i my zaliczamy siebie do prawosławia, na co my, jakkolwiek poważamy i czcimy kościół prawosławny, nie mogliśmy się zgodzić, bośmy już raz byli ochrzczeni wraz z dziećmi w wierze rzymsko-katolickiej. Poczem przez administracją, składającą się po większej części z Niemców, chciwych nagród i odznaczeń, były przedsięwzięte przeciwko nam gwałtowne środki dla zmuszania nas do przyłączenia się, co sprzeciwia się §. 97 ustawy o uprzedzeniu i przeszkodzeniu przestępstw t. 14 zbioru praw, wyd. r. 1859. Nazwawszy nas buntowszczykami i niepokornymi i rzucając na nas podejrzenie w odmawianiu jakoby Unitów od przyłączenia się, — przedstawiciele ci administracji poczęli znęcać się nad nami razami, gwałtami wszelkiemi rodzaju, rujnując przytem i nasze mienie. Poczem wrzucili nas do więzienia i wytrzymawszy przez cały rok spotwarzono nas i wygnano w liczbie 300 włościan, wiernych poddanych naszego nieodżałowanej pamięci Cesarza Oswobodziciela do Chersońskiej gubernji i tu zapomnieni, — od dziesięciu już lat rozłączeni z naszemi rodzinami od kraju, gdzieśmy wzrośli, oderwani, jakkolwiek żyliśmy w nim jako spokojni,—monarsze oddani — pracownicy i obecnie gorzkie łzy lejemy, ufając w również niewinnie ukrzyżowanego Chrystusa Zbawiciela, że sprawa nasza będzie zbadana i niewinnie zesłani wskutek zabiegów Niemców, będziemy uwolnieni przez Rosjan.

Żeśmy wierni poddani Monarchy, dowodzi tego okoliczność, żeśmy w nieszczęsnych wypadkach 63 roku nie brali udziału; żeśmy Unitów od przyłączenia się nie odmawiali, dowodzą tego fakty, bo kto z Unitów życzył sobie, ten też przyłączył się. Nareszcie, co nam, prostym ludziom, do innych, kiedy każdy z nas stoi na straży swego sumienia i obowiązków pod obroną prawa świętego §. 97, który najzupełniej nas zabezpiecza. Dbaliśmy tylko o nasze własne zbawienie, ale dzięki celom Niemców podpadliśmy pod katusze i spotwarzeni, oskarżeni o nieistniejące zbrodnie, byliśmy wygnani.

Ale Niemcy nie osiągnęli przez to swoich celów bośmy zostali wiernopoddanymi i na wygnaniu, a nasz Monarcha, szczęśliwie panujący Aleksander III. duchem świętym natchniony pomazaniec Boży, nakazał sprawę naszą poddać Najświętszemu Synodowi — jako najwyższej władzy kompetentnej w sprawach wyznaniowych, a z tej przyczyny, położywszy znak Krzyża świętego, wzmocniwszy się modlitwą, ufając w panów dygnitarzy Najświętszego Synodu, którzy mogą wskutek siłą Wszechmocnego nadanej im mądrości przejrzeć prawdę i sprawiedliwość, na których opiera się potęga państwa i jego siła, udajemy się z naszą najpokorniejszą i najuniżeńszą prośbą, aby Najświętszy Synod pozostawiając na stronie obce mu zapewne widoki polityczne, zarządził śledztwo naszej sprawy i nakazał zwolnić nas od wygnania, jako wiernych poddanych naszego Monarchy i takich chrześcian, jak inni Jego wierni poddani, wierzących w Chrystusa jedynego, co umarł na Krzyżu, ale nie stał się odstępcą. Raczcie w ten sposób zniszczyć przez wzgląd na potomstwo, czarną stronnicę historji, stworzoną przez Niemców i zroszoną krwią i łzami nas żywo pochowanych.

Ośmielamy się prosić, aby Najświętszy Synod o decyzji, jaka nastąpi na tę naszą prośbę, uwiadomił nas na miejscu naszego wygnania przez pana Chersońskiego gubernatora, lub przez kogo będzie wola jego.

Ze słów proszących niżej podpisanych spisał zesłany Grzegorz Kozłowski.

Chersoński powiat, czwarty cyrkuł policyjny.

Podpisujemy się własnoręcznie, a niepiśmienni kreślimy krzyż.

(Następuje 77 podpisów).

Korespondencje.

Londyn 4 września.

(W.) Urbi et orbi ogłosił wczoraj lord Randolf Churchill na bankiecie garbarzy w Sheffieldzie, że kwestja afgańska już nie istnieje. Rosja — powiedział on — zbadała dokładnie sporną miejscowość, rozważyła wszystko jak się należy i przyszła do przekonania, że może się zadowolnić tem, co już posiadła. Nietylko już nie ma obawy o rychłe jakieś nieporozumienie, ale jest pewność, że teraz długo w tej stronie świata pokój nie będzie przerwany. Na czem się zasadza ta pewność, lord Randolf nie raczył wytłómaczyć. Nie było to zresztą potrzebne. Garbarze odetchnęli swobodnie, a z nimi cała Anglja. Garbarze jednogłośnie krzyknęli: brawo! bardzo dobrze! a za nimi powtórzyła ten okrzyk cała Anglja. Bardzo dobrze! Nie będziemy mieli kosztownej wojny, więc ministerjum Salisbury-Churchill ma już pierwszą dobrą notę.

Sir Henry Drummond Wolff okazał się bardzo zręcznym dyplomatą. Nie poruszył żadnej drażliwej kwestji, nie zażądał niczego wprost, tylko towarzyskością swoją, manierami, dowcipem, potrafił dobrze usposobić dla siebie sułtana, jego ministrów i lawirując między ambasadami w Konstantynopolu, jak między Scyllą a Charybdą, wszystkie je uspokoił co do zamiarów Anglji i w ten sposób przebył już połowę drogi do porozumienia z Turcją, która wprawdzie jeszcze zapomnieć nie może gorzkich pigułek, zadawanych jej przez p. Gladstone'a, ale już się nie wzdryga na myśl o kooperacji wojskowej w Sudanie z Anglją. Przyznaje to mu nie tylko *Standard*, ale nawet *Daily News*, organ bardzo niechętnie oddający sprawiedliwość torysom. Więc, wydąwszy tłuste wargi po sutym objedzie, John Bull'owie zajrzeli co też o tem mówi *Pall-Mall-Gazette*. Okazało się, że sir Wolff nie ma na swem sumieniu ani jednej złamanej egzystencji dziewiczej, a nadto, że jego postępowanie w Konstantynopolu zasługuje na zupełne uznanie, bo wedle wszelkiego prawdopodobieństwa dopomoże do gładkiego umorzenia tej kwestji egipskiej, która ze swym Selikowitzem, Pain'em i majorem Kitshnerem kością w gardle stanęła Anglikom. Więc wykrzyknęli: brawo, bardzo dobrze! — i to jest druga bardzo dobra nota, udzielona ministerjum Salisbury-Churchill przez naród.

P. Parnell pragnie parlamentu irlandzkiego. „Cóż to znowu!“ — krzyknęli oburzeni John Bull'owie — co sobie myśli lord Salisbury i jego przyjaciel lord Carnarvon, (wice-król Irlandji)! Powoli panowie, odpowiedziano im, — Parnelliści nie żądają bynajmniej odłączenia Irlandji od Anglji, gdyż znają zbyt dobrze korzyści, które wynikają dla kraju z unji personalnej i byliby zadowolnieni nawet takiem stanowiskiem w zjednoczonem królestwie, któreby było podobne do stanowiska zajmowanego przez każdy ze stanów Ameryki północnej. Przyznają oni, że wszelkie kwestje polityki zagranicznej, wojskowe i marynarki, musiałyby należeć do parlamentu w Londynie. Dla parlamentu w Dublinie żądają tylko prawodawstwa i władzy wykonawczej w sprawach wyłącznie irlandzkich, a więc w sprawach wyznaniowych, policji, szkół, sądów i t. p., jakoteż prawa stanowiącego o tej części podatków, któreby były potrzebne na koszta wymienionych gałęzi administracyjnych.

— A, to co innego! — mówią John Bull'owie. — Na to ostatecznie zgodzić się można i oto projekt ten znalazł już wielu obrońców pomiędzy radykalnymi członkami angielskiego stronnictwa liberalnego, a Parnell w nowym parlamencie na czele 80 do 90 członków swojej partji, zajmie tak poważną postawę i reprezentować może taką siłę, że kto wie, czy i niezwolennicy nie uznają, iż lepiej zrobić ofiarę z zasady, niż staczać wiecznie walki z autonomistami; a ministerjum Sa-

---

30)

IZMAEL

przez

Mrs. E. Braddon.

Przekład z angielskiego **M. Faleńskiej**.

(Ciąg dalszy).

Izmael zatrzymał się niechętnie w tańcu, gdy kataryniarz przestał kręcić swoję korbą. Tańczył nieraz w przyzwoitszych miejscach zabawy robotników, z którymi pracował, ale go nigdy zapał taneczny do tego stopnia nie owładnął jak dzisiaj, gdy zamiast posadzki, miał gołą ziemię pod nogami, a nad sobą niebo, zamiast sufitu. Tam zatruwały powietrze wyziewy trunków i zaduch wytworzony tłumem, którego też grubijańskie rozmowy i obejście wstręt zawsze budziły w Izmaelu. Ilekroć z takich sal wychodził, wyrzucał sobie, że się dał do nich zaciągnąć przez swoich towarzyszów. Dziś przeciwnie, znalazł się w porządnem towarzystwie, żadne słowo nieprzyzwoite nie uraziło jego ucha. Radby był znowu zobaczyć wkrótce swą małą tancerkę i te dziewczęta, tak skromnej powierzchowności, które ją z sobą przywiozły.

— Towarzyszka pań wybornie tańczy — rzekł do Elżbiety. — Musiałyście ją tego wyuczyć.

— Ale gdzież znowu! — zawołała ze śmiechem panna Benoit. — Ona biedna sama się w tańcu wydoskonaliła, kręcąc się po podwórku jak ptaszek, lub jak motylek. Myślę, że jedyną uciechą, jakiej w życiu zaznała, było tańczyć przy odgłosie katarynki, a i ta nawet rzadko się u nas słyszeć daje.

— Zdaje się, że dziecięce jej lata były bardzo smutne — rzekł Izmael, idąc dalej obok Elżbiety, podczas gdy się kierowali ku miejscu, gdzie gromadka miała się rozejść. Nie miał on zamiaru pożegnać się tam z pannami Benoit i ze Stokrótką, ale chciał im aż do domu towarzyszyć.

— Ten stary i jego żona, to dobrana para niegodziwców — odpowiedziała z oburzeniem Elżbieta. — Wyobraz sobie pan, że to jest pierwszy dzień zabawy, jaki miała w swojem życiu ta biedaczka, i jeszcze gdyby nie to, że jej moja kuzynka swojej sukni pożyczyła... Ale, co tam gadać o takich rzeczach! ot, wymówiło mi się to w gniewie, niechcący.

— Masz pani słuszność, biorąc do serca niedolę swej sąsiadki. Biedne dziecię! jakże ciężką jest jej dola.

Więc nawet ta skromna sukienka perkalikowa pożyczonym była strojem u biednego Kopciuszka? Dotychczas mniemał Izmael, iż dzieje jego dzieciństwa były czemś całkiem wyjątkowem, że się w nich mieściło męczeństwo dotąd w swym rodzaju niebywałe. A tu, widział przed sobą wątłą istotę, o tyle nieszczęśliwszą, że pogrążoną była w ciemnocie i w nędzy, a do tego wyrobnicą u dwojga starych pijaków. Krew burzyła się w nim na myśl krzywdy, jakiej doznawała od losu ta bezbronna, słaba dziewczynka. Od czasu do czasu spoglądał na nią z tkliwem politowaniem, podczas gdy szła przodem z młodszemi pannami Benoit. Taka wątła i bladziutka, w samej wiośnie życia, zdawała się więdnąć już w pączku, przed jego rozkwitem. Ale nie, ta jej bladość miała dziwną świeżość sobie właściwą, raczej nie bladością była, ale przejrzystą białością płatka śniegu, tylko co na ziemię spadłego. Nieraz już w życiu podziwiał Izmael inne kobiety i chwilowo o nich marzył wspomnieniem, ale go dotychczas losy ani osobistość żadnej żywiej nie zajęły. Uczucie owo pierwsza Stokrótka w nim wzbudziła. Pragnął dowiedzieć się czego tylko było można, zarówno o jej charakterze, jak i o smutnych jej dziejach.

— Pozwólcie mi panie odprowadzić was do domu — rzekł do Elżbiety, poznawszy już w niej głowę rodziny Benoit.

— Dziękujemy panu bardzo za jego uprzejmość, ale mamy zamiar powrócić omnibusem.

— Jakto? czyż nie lepiej iść pieszo w tak piękny wieczór, niż dusić się w natłoczonym powozie? Toż wypadłoby na stacji wyczekiwać do północy, zanimby się miejsca znalazły. Czy nie znajdujesz pani, że o wiele prędzej zajdziemy piechotą?

— Ależ to strasznie daleko — rzekła Elżbieta, skuszona jednak nadzieją zaoszczędzenia cokolwiek grosza — lecz jeżeli moje towarzyszki nie są nadto zmęczone.

— Co do mnie, mogłabym iść na drugi koniec miasta przy tak miłym chłodzie — odezwała się ochoczo Antosia.

— Nie wiem tylko, czy sił starczy Stokrótce, która tak wiele tańczyła — rzekła Paulina.

— O, ja nie jestem nic a nic zmęczona — zawołała ta, o której była mowa. — Najchętniej pójdę pieszo do domu, choć jechać omnibusem byłoby także przyjemnie.

Poszli tedy dalej wszyscy razem. Sama nie wiedząc jak do tego przyszło, Stokrótka znalazła się niebawem opartą na ramieniu Izmaela, tak jak było, gdy po raz pierwszy ujrzała się w tańcu w jego objęciach. Wziął jej drobną rączkę i wsunął ją pod swe ramię ruchem, w którym była przewaga silniejszej woli, oraz przyjazne zaopiekowanie się słabym przez mocniejszego.

Nie wypytywał wcale Stokrótki o jej przeszłość podczas drogi. Z tego, co usłyszał od Elżbiety, dowiedział się dosyć, aby czuć, że dotkliwą byłaby dla niej wszelka o jej otoczeniu wzmianka. Pomimo coraz żywszego zajęcia, jakie w nim budziła ta młodziutka dziewczyna, której ciemno-błękitne źrenice miały już wyraz tak posępny, nie chciał dowiedzieć się przykrych szczegółów, które przeczuwał, że istniały w jej życiu.

Mówił z nią więc tylko o sobie, a raczej o rodzinnych stronach, które cząstkę duszy dla niego stanowiły, opisując z rozkoszą ich piękną przyrodę i dziejowe zabytki. Stokrótka słuchała go z coraz większem zaciekawieniem; śmielsza z nim teraz, zarzucała go pytaniami, a on odpowiadał jej z pobłażliwym uśmiechem, tłumacząc każdą rzecz dokładnie temu dziecięciu, któremu wszystko było jeszcze obcem. Gdy wspomniał o górzystych okolicach, powiedziała mu, że nieraz o takich krajach wspominał pan Charabia, wtedy gdy u nich fajkę palił, rozmawiając z babcią.

Izmael zapytał jej, kto był ów człowiek, o którym mówiła jak o bliższym znajomym.

Stokrótka powiedziała, że jest to przyjaciel jej dziadka, który mu powierza swoje roboty do sprzedania. Czasem uda mu się wziąć za nie dobrą cenę, i wtedy babcia zatrzymuje pośrednika na wieczerzę, a on rozwesela się przy winie i opowiada różne rzeczy o swej rodzinnej Owernji. Ale częściej się zdarza, że nie ma na razie dobrego nabywcy na te piękne meble, a ponieważ jeść przecie trzeba i grosza nie ma już w domu, pan Charabia zabiera je wreszcie za byle co. To najgorsze, że dziadunio nie może mieć własnego składu, tylko musi drugim oddawać swoje wyroby do sprzedawania.

— Ten pośrednik musi być niezmiernie dobrym człowiekiem, albo wytrawnym oszustem — rzekł Izmael. — Całkiem to dla mnie nowy okaz. Jakże on wygląda?

— Krępy jest, ale dosyć wysokiego wzrostu i ma kędzierzawe włosy, bardzo czarne, a wyraz twarzy wcale niemiły — odpowiedziała Stokrótka — ale dziadek zapewnia, że to jest człowiek uczciwy; tylko wtedy, kiedy mu musi za wiele odstąpić od ceny, jaką chciał wziąć za swoję robotę, to znowu złości się i nazywa go pijawką, co krew z ludzi wysysa, aby się nią żywić. Babcia powiada, że Charabia jest bogaty i że powinniśmy starać się o jego życzliwość.

— A pani, czy lubisz tego Owerniaka? — zapytał Izmael.

Nikt dotąd panią nie nazywał Stokrótki; stanowiło to niby dowód, że się stała dorosłą osobą.

— Czy go lubię? — powtórzyła ze zdziwieniem. — Myślę, że on nie wiele dba o to, czy go lubię, lub nie. Nigdy się prawie do mnie nie odzywa, ale czasem siedzi nic nie mówiąc i patrzy na mnie swemi czarnemi, wyłupiastemi oczami, a wtedy strach mnie bierze, sama nie wiem, czemu. Muszę też chodzić po wino i po wódkę, gdy on u nas zostaje na wieczerzy. Nie cierpię tego człowieka — dodała z dreszczem odrazy — ale muszę się z tem taić. Niech pan nie mówi dziaduniowi, żem to powiedziała.

— Bądź pani co do tego spokojną, z niczem się nie wygadam. Ale z niejednego słowa twojego domyślam się, że dziadkowie niekoniecznie dobrze z tobą się obchodzą.

— Nie są tak dobrzy dla mnie, jak pan — odpowiedziała, wyrażając z prostotą wrażenie, jakie na niej sprawiała przychylność, której dowodów nikt jej dotąd nie dawał — ale oni nie z umysłu bywają dla mnie szorstkimi, tylko dla tego, że życie jest dla nich tak ciężkiem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

lisbury-Churchill, za względne załatwienie kwestji irlandzkiej otrzymał od narodu trzecią dobrą notę.

Nie jestto tak źle jak na okoliczności, przy których stanął u steru i mój przyjaciel, zawołany wig, sir Cobbins, powiada, że będzie głosował na torysów.

— Sir — mówi on mnie, wyciągając krótkie a grube nogi aż na kratę płonącego kominka (bo na dworze, jak w listopadzie) — sir tego nie zrozumiesz. Może się mylę, ale mnie się zdaje, że w tem nic dziwnego. Tak, sir tego nie zrozumiesz, bo nie jesteś Anglikiem. Stara Anglja zawsze była wielką ofiarnością interesów stronnictw na rzecz interesów państwa. Gladstone jest dzielny gentelman, ale niech wypoczywa, bo Salisbury także jest dzielny. Mogę ci zapewnić, sir, że cała Anglja myśli!

Zatem, szanse torysów na zwycięztwo przy wyborach są wielkie w Anglji i Szkocji. A w Irlandji?

W Irlandji oczywiście wyjdą parnelliści, a oni nie będą zawadzali konserwatystom, bo na liberałach potężnie się oparzyli. Zreszta nie mogą się skarżyć na teraźniejszy gabinet. Oto dowód.

Wicekról, lord Carnarvon, z lady wicekrółową jeździł — jak już donosiłem — po wyspie i wszędzie występował jako szczery przyjaciel Irlandczyków. Podróż swą właśnie zakończył mową w Sligo, która ogromnego nabrała rozgłosu. Miasto to leży w hrabstwie Mayo, w siedlisku agitacji agrarnej i dynamitowej. Przyjęto go jednak serdecznie owacjami, mowami i niezbędnemi bankietami. Wicekról wyraził gotowość swoję i rządu angielskiego do zaprowadzenia reform, żądanych przez ludność nadmorską hrabstwa, obiecał wszelką pomoc farmerom ze skarbu państwa i zakończył, winszując rolnikom obfitego żniwa tegorocznego, które naprawi złe długoletniej nędzy. Przy odjeździe do Dublina wicekról zawołał z wagonu: *Erin go brahg!* (niech żyje Eryn!) Tłumy włościaństwa powtórzyły długiemi okrzykami starożytne hasło gaelickie, którego dotąd nie wnoszono w kołach lojalnych i wiernopoddańczych przed osobą reprezentanta królowej.

Liczba adwokatów w Galicji.

Dr. Julijan Morelowski w rozprawie swojej „O przyszłości naszych prawników", wydrukowanej w dwutygodniku *Urzędnik*, pisze między innemi co następuje:

„Liczba adwokatów w całej Galicji wynosi tylko 275. Z liczby tej przypada 212 na miasta, będące siedzibami trybunałów, a na miasteczka powiatowe tylko 63. Z zestawienia tych cyfr widzimy, że — w ogóle rzecz biorąc — przepełnienia w stanie adwokackim nie ma; jest ono może tylko w niektórych większych miastach. Natomiast wielka jest liczba miasteczek, będących siedzibami starostw i sądów powiatowych, gdzie młodzi adwokaci z widokami powodzenia osiedlać się mogą. Będą oni odbiedzać tam ludności, a wyzyskiwanej dotychczas przez setki pisarzy pokątnych z powodu braku adwokatów. — W ciągu ostatnich lat piętnastu liczba adwokatów w Galicji powiększyła się o 179, tj. rocznie o 12 niespełna, co zaś dowodzi, że liczba młodzieży zasilającej karjery w sądownictwie wzrasta więcej niż liczba adwokatów. Część młodzieży, oddającej się teraz zawodowi sądowemu, może śmiało zwrócić się ku adwokaturze — wszelako pod warunkiem, jeżeli młodzi adwokaci tam się będą osiedlali, gdzie obawa konkurencji nie jest wielka."

A w dopisku — dla umotywowania tego zdania — dodaje:

„W całej Przedlitawji jest 2748 adwokatów, a że ludność jej 22,144.344 mieszkańców wynosi, przeto wypada jeden adwokat na niespełna 9000 mieszkańców. W Galicji, której ludność blisko sześć miljonów liczy, było 275 adwokatów, to jest, jeden na 21,818 mieszkańców, z czego wynika, że w kraju naszym nie ma jeszcze przepełnienia w adwokaturze. W całej Przedlitawji z końcem roku 1883. było kandydatów adwokatury 1294, z tej liczby przypada na Galicję 232."

Owóż pozwalamy sobie być innego zdania niż szanowny autor wspomnianej rozprawy, znany zresztą i z innych bardzo cennych prac w naszej prawniczej literaturze. Sądzimy bowiem, że fakt ten, iż w całej Przedlitawji wypada jeden adwokat na 9000 mieszkańców, a w Galicji jeden na 21,818 mieszkańców, nie może wcale służyć za dowód braku u nas dostatecznej liczby adwokatów. Bo naprzód należałoby udowodnić, że stosunek 1 do 9000, istniejący w Przedlitawji, jest stosunkiem normalnym, odpowiadającym zupełnie majątkowemu stanowi jej mieszkańców. Zgodzi się bowiem z nami szanowny autor, że nie tyle liczba mieszkańców, ile stopień ich zamożności decyduje o liczbie adwokatów.

Maleńka Genewa, mająca 40.000 mieszkańców, posiada według wykazów statystycznych przeszło sto miljonerów, to jest przeszło stu ludzi posiadających co najmniej po miljonie majątku, a są między nimi i tacy, którzy mają po kilka i kilkanaście miljonów; paru zaś ma przeszło miljon dochodu. Natomiast Lwów ma zgórą sto dziesięć tysięcy mieszkańców, jest zatem prawie trzy razy większy od Genewy. Gdybyśmy więc zapatrywali się ze stanowiska cyfr bezwzględnych, to musielibyśmy powiedzieć: Ponieważ Genewa ma około 70 adwokatów, przeto Lwów powinien ich posiadać przeszło 200, a skoroby ich posiadał dopiero na 160, to musielibyśmy powiedzieć, ciągle stojąc na stanowisku porównawczem z Genewą, że przepełnienia adwokatów w nadpełtwiańskim grodzie nie ma wcale.

Tymczasem przepełnienie ich jest we Lwowie, jakkolwiek liczy on nie 160, ale tylko 80 adwokatów. A dlaczego? Oto dlatego, że Lwów ma ludność ubogą i przeto nie dostarcza adwokatom takiego zastępu klientów, jaki im daje trzykroć od niego mniejsza, ale za to dziesięćkroć od niego bogatsza Genewa.

Porównanie to Genewy ze Lwowem wykazuje, że w rzeczach tego rodzaju niepodobna stać na stanowisku cyfr bezwzględnych. To, że gdzieindziej wypada 1 adwokat na 900 mieszkańców nie może dać jeszcze podstawy do twierdzenia, że w naszym kraju, mającym jednego adwokata na trzy razy większą liczbę mieszkańców (bo na 20 tysięcy), przepełnienia nie ma w zawodzie adwokackim.

Przeciwnie, poważylibyśmy się powiedzieć nawet, że porównanie tych dwóch cyfr daje prawo do wyprowadzenia więcej odwrotnego wniosku, mianowicie, że jeżeli w całej Przedlitawji wypada 1 adwokat na 9000, a w Galicji 1 na 20.000 mieszkańców, to stąd raczej przypuszczać wypada, że w Galicji jest przepełnienie adwokatów. Nie zapominajmy bowiem, że o istnieniu adwokata decyduje nie liczba mieszkańców, ale ich majątek. Ileż we Lwowie rodzi się, żyje i umiera tysięcy ludzi, którzy w ciągu całej swej egzystencji na ziemi nie potrzebowali ani razu adwokackiej pomocy w rzeczach cywilnych. Jeżeli w naszem mieście wypada 1 adwokat na 1400 mieszkańców, to śmiało można powiedzieć, że żyje on z 20, 30, najwyżej 50, a reszta (1350) nie przyczynia się niczem do dostarczenia mu środków egzystencji. Więc też chcąc wiedzieć, czy stosunek liczby adwokatów do liczby mieszkańców w Galicji równa się temu stosunkowi, jaki jest w całej Przedlitawji, trzeba przedewszystkiem zapytać się, czy majątek 20 tysięcy mieszkańców Galicji równa się majątkowi 9000 Przedlitawczyków? Nam się zdaje, że się nie równa. To jest, że prowincja nasza jest stosunkowo więcej niż trzy razy uboższa od Przedlitawji, a zatem powinna mieć stosunkowo jeszcze mniej adwokatów.

Pan Morelowski radzi, aby młodzi adwokaci osiadali po małych miasteczkach, gdzie im otwiera się świetne pole do ratowania wiejskiej ludności od pokątnych pisarzy. Rada rozsądna, której tylko przyklasnąć wypada, ale czy skutek odniesie — wątpimy. A wątpimy dla tego, że adwokat, nawet z bardzo skromnemi żądaniami, nie zdoła się utrzymać w małem miasteczku, jeżeli się nie chwyci sposobów, praktykowanych przez pokątnych pisarzy, mianowicie jeżeli nie będzie podniecał ludności do pieniactwa i wszczynał sztucznych procesów. Jeżeli zaś, pod wpływem głodu, weźmie się do tych sposobów, to społeczeństwo nie odniesie żadnego pożytku z jego osiedlenia się na partykularzu, a ucierpi korporacja adwokatów.

Streszczając więc to wszystko, cośmy powyżej powiedzieli, przychodzimy do przekonania, że mając na oku obecny stan naszego kraju, nie możemy być zdania, iż nie ma u nas przepełnienia adwokatów.

MAŁY FELJETON.

Mój pierwszy niedźwiedź.

„Wczoraj powróciłem z pierwszych łowów na niedźwiedzia. Czy można było po mnie spodziewać się czegoś podobnego? Nie? Szczerze mówiąc, sam byłbym tego nie przypuszczał; myśliwstwo może nie było wypływem własnej woli, wyprawiłem się na niedźwiedzia, bo mi kazano to zrobić.

„Dziwisz się droga ciociu? Ha, bywają sytuacje równie dziwne, jak sytuacja ciotki, będącej w jednym wieku z siostrzeńcem. Owoż znalazłem się w jednej z takich sytuacyj. Proszę mnie posłuchać.

„Ubiegłej zimy zostawałem w bliskich stosunkach z domem hrabiego R. Zgadujesz zapewne, ciociu, że odwiedzałem ów dom nie tyle dla starego hrabiego, swoją drogą bardzo zacnego człowieka, ile dla jego pięknej córki Zofji. Znasz ją ciociu? Dobrze, w takim razie nie posądzisz mnie o brak gustu. Przystojna, smukła, pełna prostoty, a wolna od zwykłych pretensjonalności panien tego wieku, Zofja była istnym aniołem. Ale po co to mówię: wszak ciocia wiesz o tem sama. Żart na bok. Nieokreślona sympatja, którą czułem dla niej, gdy była jeszcze dzieckiem, przeszła teraz w gwałtowną miłość; zakochałem się w Zofji, jak to powiadają po uszy. Czyż winien jestem, że tak się stało? Jeśli w ogóle może w tem być ktoś winnym, to chyba Zofja. Ma tak cudowne oczęta! Ilekroć jej ojciec opowiadał mi myśliwskie „prawdziwe zdarzenia" — jedyny błąd starego hrabiego — mrugała ona potwierdzająco, jak gdyby przez to wypadek Nemroda nabrać miał większego prawdopodobieństwa. Zapewne musiała kilkakrotnie wyczytać w mej twarzy, że niezbyt dowierzałem jego opowiadaniom i to był powód, dla czego celem uratowania powagi swego ojca, ścigała mnie oczętami i mrugała tak potwierdzająco. I rzeczywiście: chciałem, musiałem mu wierzyć. Odtąd hrabia okazywał mi coraz więcej przychylności i coraz częściej zapraszał do siebie. Po co właściwie przyjmywałem te zaproszenia, po co ciągle go odwiedzałem, nie wiem. Hrabia opowiadał mi zawsze jedne i te same dykteryjki, a ja musiałem ich słuchać i przynajmniej udawać, że wierzę, bo zmuszała mnie do tego Zofja. Potem widywałem ją także w domu jej krewnych. Mówiła mało, ale patrzyła na mnie zawsze tak samo poważnie, jak podczas opowiadań jej ojca.

Karnawał jeszcze się nie skończył, a mogłem już na pamięć wyliczyć wszystkie niedźwiedzie hrabiego. Nawet umiałem już filuterną anegdotę o zbiegłym tańcującym niedźwiedziu, za którego hrabia musiał zapłacić grubo, gdyż zastrzelił go przez pomyłkę. Ale hrabia nie wiedział, że moje serce spoczywało na silniejszej uwięzi, niż ów kudłaty tancerz. Skoro wielki post położył koniec towarzyskim zebraniom, nie mogłem już rozstać się z domem hrabiostwa R. Począłem starać się oficjalnie o Zofję. Stary hrabia był zachwycony nadzieją, że otrzyma myśliwego zięcia, ale położył za warunek pozwolenia z swej strony to, abym przyniósł mu kożę z niedźwiedzia ubitego własnoręcznie. Wprawdzie Zofja zakładała protesta, ale cóż było począć z ojcem? Niepodobna przecież obrażać go zaraz z początku. Nie chcę przez to powiedzieć, jakobym bał się polowania; ale pojmiesz droga ciotko, że było mi przykro opuszczać Lwów właśnie w takiej chwili. A nigdy nie można wiedzieć, jak się skończy podobna sprawa. Anuż nieszczęście zechce i dzięki dziwactwu przyszłego mego teścia zostanę kaleką? To znowu pytanie czy Zofja wyjdzie za kulasa, lub człowieka z oszpeconą twarzą? W takie to różowe dumania pogrążyła mnie decyzja hrabiego! Ale nie było wyjścia. Chcąc, niechcąc, musiałem podjąć się walki z niedźwiedziem. Rzekłem więc hrabiemu:

— Dobrze, pójdę na niedźwiedzia i to natychmiast. Jutro jadę a w ośm dni powrócę na zaręczyny. Zgoda?

Hrabia położył mi rękę na ramię i uśmiechając się ironicznie, powiedział:

— Drogie dziecię, nie zapominaj, że teraz kwiecień, a łowy na niedźwiedzia rozpoczynają się w Karpatach z miesiącem listopadem. Jednakże będzie bardzo cieszyło mnie i Zofję, jeśli zechcesz nas często odwiedzać do tego czasu. Napiszę jeszcze dziś do mojej siostry. Potrzebuję jej koniecznie; rozumiesz mnie: nie mam żony, a ostatecznie bezdzietna wdowa, jak ona, także nie może się uskarżać na nadmiar zajęć. Próbuj przypodobać się jej; to będzie ci z tem dobrze. Do widzenia, mój drogi!

Następnym razem zastałem już ciotkę Zofji, kobietę w istocie miłą, ale nie bez pretensji. Od niepamiętnych już czasów liczyła sobie lat 49 i w żaden sposób nie mogła wyjść po za ich obręb. Nie uśmiechaj się droga cioteczko tak złośliwie: przez cały rok musiałem poczciwej kobiecinie smalić cholewki. Przynosiłem jej najrozmaitsze rzeczy: raz bukiet, to znowu bombonierkę, fotografie arcydzieł — i rzeczywiście do tygodnia zdobyłem sobie jej przychylność wedle wszystkich przepisów sztuki. Zapraszała mnie często do siebie na herbatę, którą piła w swych własnych apartamentach. Ja i Zofia musieliśmy z całem namaszczeniem słuchać o jej ostatnich konkietach, o kadrylu, którego tańczyła z pewnym ministrem i o innych tym podobnych, zajmujących rzeczach.

— Ale gdzież podział się niedźwiedź, przyrzeczony niedźwiedź. Czy może ciotka Zofji była tym niedźwiedziem?

— Prawda! Był bym prawie zapomniał o niedźwiedziu. Opowiem cioci tylko, że lato przebyłem szczęśliwie i nareszcie nastał listopad. Już w październiku nawiązał hrabia dyplomatyczne rokowania z właścicielami karpackich lasów. Doprowadzono je ostatecznie do tego punktu, że dostałem formalne zaproszenie do wzięcia udziału w polowaniu na niedźwiedzie, którego terenem miały być dobra N. Z rana przyszło zaproszenie, a po południu byłem już w drodze. Podróż zdawała mi się nieskończenie powolną i długą; jechałem sam. Od nieznośnego zimna chroniło mnie tylko wspomnienie Zofji i wyborne futro.

Po kilku dniach — wtedy kolei jeszcze nie było — dostałem się szczęśliwie do N. Hrabia musiał mi wystawić dobre świadectwo, gdyż spostrzegłem, że uważano mnie za niedoścignionego Nemroda. Przez całe dwa dni musiałem bez ustanku spożywać niedźwiedzie szynki, rozmaitą dziczyznę, do której zamiast deseru dodawano mnóstwo — myśliwskich dykteryjek. Dość, że ostatecznie dostaliśmy się do rewiru, a twierdzono, jakoby gnieździł się tam wspaniały niedźwiedź z swą czcigodną połowicą. Przedstaw sobie, droga ciociu, niezbyt strome, ale wysokie wzgórze; w dole rozciąga się gęsty las, niżej zrąb, a za nim rozłogi młodego lasu i wielkie głazy skalne. Całkiem przypadkowo padło na jeden taki głaz moje spojrzenie; miał on około 3 stopy wysokości i stał wprost naprzeciw leśnej drożyny. Więc myślę sobie: Tu musi być wyborne miejsce i powiadam to jednemu z panów. Sądząc, że pragnę otrzymać je, woła on naczelnego łowczego, który też zaraz przeznacza mi owo stanowisko. Dopiero później przekonałem się, jak szczęśliwy uczyniłem wybór. Wyobraź sobie ciociu: podnóże skały było pokryte śniegiem w wysokości pięciu stóp; taka masa śniegu mogła przecie przeszkodzić każdemu niespodzianemu napadowi. Byłem więc zabezpieczony przed niespodzianką. Z wielkim trudem przebiłem się wreszcie przez śnieg, mianowicie od strony góry.

Zapamiętaj sobie, co powiedziałem, droga ciotko, gdyż stanowi to ważny przyczynek do mojej historyjki. Wielki łowczy osnuł plan następny: jego ludzie mieli długim łańcuchem osaczyć grzbiet góry, mianowicie na granicy zrębu. Drugi taki pierścień opasywał las od dołu.

W obydwu osaczonych częściach rozstawiono myśliwych. Chciano przedewszystkiem zmusić niedźwiedzi, aby weszły na dół. W młodym lasku mieli ich myśliwi dopaść i ubić.

Usadowiwszy się na swem stanowisku, patrzę dokoła. Całkiem w górze, po za lasem pada strzał, poczem następuje cisza, tajemnicza cisza. Przeczucie, czy też właściwy chrzęst gałęzi wprowadził mnie na domysł, że niedźwiedź w dół się posuwa. Skupiłem wszystkie zmysły. Po pewnym czasie, nie wiem, czy to było kilka minut, czy godzina (mnie zdawało się, że cała wieczność), pada strzał i jeden i drugi i trzeci, a potem następuje głośny okrzyk radości. Widocznie ubito niedźwiedzia. A drugi? Miałże mi się wymknąć? Wszak koniecznie potrzebną mi była jego skóra. Sam nie wiedziałem, co począć, czy pozostać na stanowisku, czy też opuścić je i podążyć w miejsce, skąd gwar mnie dochodził, aby tem pewniej wpaść na zwierza. Już zdecydowałem się na to drugie, gdy nagle spostrzegłem lekkie poruszenie w pobliskich zaroślach. Naturalnie zatrzymałem się natychmiast i począłem śledzić, nie mogąc jednakże niczego dostrzedz. Tylko to zdawało mi się rzeczą pewną, iż musiało tam być jakieś wielkie stworzenie, a więc albo niedźwiedź, albo człowiek.

Niewidzialna istota nadchodziła tymczasem coraz bliżej do drożyny leśnej, naprzeciw której stałem. Brawo! Widzę już kudły, słyszę mruczenie... Nie namyślając się dłużej, przykładam i palę. Strzelbą władam dobrze i zdawało mi się, że trafiłem w sam łeb zwierza. Lecz było to złudzenie. Gdy dym się rozwiał, ujrzałem, że miś stał, jak gdyby chwilowo osłupiały, musiałem go trafić, ale nie dobrze. Głuchy jęk dobył się z jego piersi, a prawa łopatka zaczęła krwią broczyć...

— Pono, że niezbyt mile usposabia cię, droga ciotko, to opowiadanie? Mam je przerwać?

— Nie! wszak do końca nie daleko.

— Wszystko, co opowiedziałem o pojawieniu się niedźwiedzia, trwało zaledwie kilka sekund. Niedźwiedź, dopiero teraz spostrzegłszy niespodziewanego wroga, biegnie na mnie rozjuszony, straszliwie mrucząc. Palę znowu. Teraz stanął przedemną zaledwie w oddaleniu kilku kroków. Trafiam go rzeczywiście w głowę. Co za szkoda, że nie w oko. A ta różnica wiele znaczy; zwykły postrzał w głowę nie szkodzi niedźwiedziowi, gdyż kula odbija się od twardej jego czaszki, natomiast strzał w oko bywa zawsze śmiertelny. Po tym drugim ataku niedźwiedź oczywiście rozsrożył się jeszcze bardziej. Szybciej, niż to piszę, zbliżył się do mnie tak, że dzieliła nas już zaledwie przestrzeń trzech kroków. Sytuacja zaczynała być nie miłą. Musiałem w każdym razie starać się o trafienie w oko i dla tego chwilę wytrzymałem. Teraz właśnie pokazało się, jak szczęśliwie wybrałem sobie miejsce. Tak, droga ciotko, gdyby nie owo szczęście, nie siedziałbym w tej chwili w wygodnym twym pokoju.

Już wspomniałem, że głaz sięgał trzy stopy nad poziom śniegu. Obok głazu znajdował się dół, ale śniegiem tak zasypany, że nie było go wcale widać. Wdrapałem się od strony góry, nie od strony dołu, więc niedźwiedź nie mógł wiedzieć, jak wysoko stoję rzeczywiście. Z całą natarczywością rzucił się na mnie i byłby z pewnością wykonał srogi akt zemsty, zanim zdołałem strzelić. Ale rzuciwszy się, zapadł się głęboko w ów dół. Ja tymczasem przykładam strzelbę, mierzę i trafiam istotnie w samo oko. Niedźwiedź w okamgnieniu pada trupem, a mnie radość omal nie rozsadziła serca. Za chwilę znalazłem się otoczony towarzyszami, którzy nadbiegli zwabieni echem strzałów. Jeszcze dymiła się moja strzelba, kiedy mi zewsząd gratulowano. Panowie chwalili bystrość oka, śmiałość ręki, ale nie zaprzeczali także — szczęścia.

Dowiedziałem się przy tej sposobności, że cała historja trwała zaledwie kilka sekund, chociaż mnie wydawała się ona nieskończenie długą. Zaprowadzono mnie i drugiego szczęśliwego myśliwca tryumfalnie do dworu, gdzie gospodyni, która jest daleką krewną Zofji, opowiedziałem, co uzyskam za cenę niedźwiedziej skóry. Uznała ona za rzecz naturalną, gdy dodałem, iż spieszy mi się z powrotem; musiałem tylko złożyć przyrzeczenie, że skoro Zofja zostanie moją żoną, oboje przyjedziemy do Sza....

„Wracałem niby Jazon ze złotem runem. Co potem zaszło, łatwo odgadniesz droga ciociu. Za tydzień odbędzie się nasze wesele, na które mam zaszczyt niniejszem solennie zaprosić szanowną i kochaną ciotunię." *B.*

KRONIKA.

JEksc. p. namiestnik Filip Zaleski bawi obecnie w Ostendzie.

JEksc. bar. Schenk, prezydent wyższego sądu krajowego, powrócił z urlopu do Lwowa i objął wczoraj urzędowanie.

Mianowanie. Minister wyznań i oświecenia nadał profesorowi gimnazjalnemu w Stanisławowie Drowi Przemysławowi Niementowskiemu posadę nauczycielską przy państwowem gimnazjum Franciszka Józefa we Lwowie i zamianował zastępcę katechety przy c. k. państwowej szkole realnej w Krakowie X. Eustachego Skrochowskiego, rzeczywistym nauczycielem religji w tymże zakładzie.

Minister i kierownik ministerstwa sprawiedliwości zamianował kandydata notarjalnego a chwilowo pomocniczego referenta przy lwowskiej c. k. prokuratorji skarbu Ludwika Dellera notarjuszem z siedzibą urzędową w Krakowcu.

T. Fryderyk Lachner mianowany został suplentem nauki rysunków przy gimnazjum w Wadowicach.

Ślub. W Wiedniu odbył się w kościele wotywnym ślub hr. Elżbiety Knisky, córki hr. Eugenjusza z baronem Kazimierzem Pfaffenhofem Chłędowskim, porucznikiem 2go pułku ułanów i adjutantem przybocznym jenerała broni Bauera.

Ze sportu. Drugi dzień jesiennych gonitw w Moskwie przyniósł cztery nowe zwycięstwa stajniom naszym.

Do nagrody „Gizo" rs. 1500 stanęło siedm dwulatków, z których pierwszą była „Arkonja" p. Ursyna Niemcewicza z nagrodą rs. 1760, drugim „Kordecki" p. Grabowskiego z nagrodą rs. 440.

Również siedmiu konkurentów stanęło do nagrody stołypińskiej dla trzy i czterolatków przeznaczonej.

Z walki zwycięzko wyszedł „Higland" hr. Krasińskiego, drugą ku wielkiemu zdziwieniu zdążyła niespodzianie „Maryna" p. Ursyna Niemcewicza, a za nią dopiero „Chrobry" Dorożyńskiego i „Maryna Mniszchówna" p. Grabowskiego.

Nagroda pierwsza wyniosła 2525 rs., druga 1000 rubli.

Do biegu o premjum galicyjskie meldowano tylko trzy konie. „Francesca" hr. Krasińskiego przyszedłszy obecnie do zdrowia, była tu pierwszą z nagrodą 920 rs., „Sędzina" Aug. hr. Potockiego ledwie trzecia zdążyła.

W trzech tych biegach zwycięzców za każdym razem dosiadał Wicks.

„Giaur" p. Dorożyńskiego znowu wygrał *handicap*; w liczbie pobitych przez niego koni znalazła się „Sierra" pp. Wotowskiego i E. Reszkego; nagroda wyniosła 536 rs.

Great attraction dnia, wielki między-narodowy *steeple chase* z nagrodą przeszło 4000 rs., rozegrało między sobą pięć koni rosyjskich, z nich trzy upadły w biegu i zwycięzcą całkiem niespodzianym okazał się stary „Lagrange" p. Kaufmana.

Trzecie z rzędu gonitwy miały miejsce w niedzielę.

Wygnańcy z Prus poszukujący umieszczenia za pośrednictwem komitetu krakowskiego (prezes p. Konopka: 1) Podgorzelnik, kawaler 2) Młynarz, kawaler. 3) Robotnik, z żoną, 1 dzieckiem. 4) Rządca gospodarczy, kawaler, 6) Wykształcona panna gruntownie w krawieczyznie, białem szyciu, haftach i różnych robotach kobiecych.

Wystawa dzieł Artura Grottgera we Lwowie ma przyjść do skutku niebawem, a to za inicjatywą tutejszego Koła literacko-artystycznego. Komunikują nam, że p. marszałek krajowy, dr. Zyblikiewicz skłonił się do zezwolenia, ażeby wystawa odbyła się w salach gmachu Sejmowego.

Z teatru. Dyrekcja lwowskiego teatru zaangażowała panią Radwan Trapszo na sezon zimowy do operetki lwowskiej, tudzież pozyskała na dłuższy lub krótszy czas następujące siły wokalne dla opery polskiej we Lwowie: panią Zafję Brajninową primadonnę z Warszawy na szerek występów gościnnych, które rozpoczną się w listopadzie, pana Niedźwieckiego basistę na dwumiesięczny pobyt również od listopada, p. Wierzbickiego barytonistę opery warszawskiej i Lebruna basistę amatora. Pani Pascalis znana publiczności naszej, śpiewaczka, występująca obecnie z wielkiem powodzeniem w Medjolanie, za-

---

122)

KAPITAN FRACASSE.

POWIEŚĆ

Teofila Gautier.

Tłómaczył **Władysław Bogusławski.**

(Ciąg dalszy).

— Jeżeli mi tak dalej będziesz pochlebiał — rzekła Izabella, grożąc bratu — zacznę znów czytać i zmuszę cię do słuchania całej historji, którą ma opowiedzieć w kajucie galery korsarz berberyjski brance swojej, niezrównanej księżniczce Amenaidzie, siedzącej na poduszkach ze złotogłowia.

— Nie zasłużyłem na tak surową karę. Choćbym miał wydać się gadułą, muszę mówić. Ten przeklęty doktór trzymał mi tak długo na ustach pieczęć milczenia, która mnie czyniła podobnym do posągu Harpokratesa!

— Ale czy nie lękasz się znużenia? Rana twoja zaledwie zabliźniona. Mistrz Laurenty polecił mi czytać, żebyś słuchając, oszczędzał piersi.

— Mistrz Laurenty sam nie wie co mówi i chce jak najdłużej zachować swoję powagę. Płuca moje wdychają i oddają powietrze z równą łatwością jak przedtem. Czuję się zupełnie dobrze i mam ochotę siąść na koń i przejechać się po lesie.

— Lepiej rozmawiać — to mniej niebezpieczne.

— Wkrótce będę już na nogach i przedstawię moję siostrę w świecie, gdzie ją wzywa stanowisko i gdzie jej doskonała piękność rzuci pod stopy mnóstwo wielbicieli, z pomiędzy których hrabina de Lineuil będzie mogła wybrać sobie małżonka.

— Nie mam żadnej chęci pójścia za mąż, a wierz mi, że nie jest to bynajmniej mowa dziewczyny, która byłaby w rozpaczy, gdyby ją za słowo schwytano. Tyle razy już oddałam rękę na zakończenie sztuki, w której grałam, że nie pilno mi zrobić to samo w życiu rzeczywistem. Nie marzę o szczęśliwszej egzystencji, jak przy ojcu i przy tobie.

— Ojciec i brat nie zawsze wystarczają, nawet osobie najbardziej od świata oderwanej. Takie uczucia nie zapełniają całego serca.

— A jednak zapełniają moje: gdyby zaś zabrakło mi ich kiedyś, wstąpię do klasztoru.

— Byłaby to już zbyt daleko posunięta surowość. Czyż naprzykład kawaler de Vidaline nie wydaje ci się stworzonym na doskonałego męża?

— Zapewne. Kobieta, która go zaślubi, będzie mogła nazwać się szczęśliwą; ale jakkolwiek twój przyjaciel bardzo jest przyjemnym, kochany Vallombreuse, nie będę nigdy jego żoną.

— Kawaler de Vidaline jest trochę rudy, a ty może, jak nasz król Ludwik XIII, nie lubisz tego koloru, choć go malarze bardzo cenią. Ale nie mówmy już o Vidalinie. Jakże ci się wydaje margrabia de l'Estang, który niedawno przyszedł dowiedzieć się o moje zdrowie i w ciągu całych odwiedzin oczu z ciebie nie spuszczał. Był tak oczarowany wdziękiem twej osoby, tak olśniony niezrównaną pięknością, że zaplątał się w komplimentach i bąkał jak żak. Pominąwszy tę bojaźliwość, która w twoich oczach powinna znaleźć usprawiedliwienie, skoro ty sama jesteś jej przyczyną, de l'Estang jest skończonym mężczyzną: piękny, młody, dobrze urodzony i bardzo bogaty. Byłby dla ciebie zupełnie stosowny.

— Od chwili kiedy mam zaszczyt należeć do waszej rodziny — odpowiedziała Izabella zniecierpliwiona temi żartami — nie przystałoby mi być zbyt pokorną. Nie powiem więc, że uważam się za niegodną podobnego związku; ale choćby nawet margrabia de l'Estang prosił ojca o moję rękę — odmówiłabym. Powiedziałam ci już mój bracie, nie chcę iść za mąż i ty, dręcząc mnie w ten sposób, wiesz o tem dobrze.

— O jakże dziewicze i nieprzystępne masz upodobanie, moja siostro. Djana nie jest tak dziką w swoich lasach i dolinach Hemusu i to jeszcze, jeżeli wierzyć złym językom mitologicznym, imci pan Edymion zjednał sobie jej względy. Gniewasz się dla tego, że ci proponuję gawędząc, kilka niezłych partyj; jeżeli te nie podobają ci się, znajdziemy inne.

— Ja nie gniewam się, mój bracie; ale jak na chorego za wiele jeszcze mówisz i powiem mistrzowi Laurentemu, żeby cię wyburczał. Nie dostaniesz na wieczerzę skrzydełka kurczęcia.

— Jeżeli tak, milczę—rzekł Vallombreuse tonem uległym—ale wierz mi, że męża dostaniesz tylko z mojej ręki.

Izabella, chcąc zemścić się za uparte szyderstwo swego brata, rozpoczęła historję korsarza berberyjskiego, głosem donośnym, zagłuszającym głos Vallombreusa.

„Mój ojcze, książę do Fossombrone przechadzał się z moją matką, jedną z najpiękniejszych z kobiet, jeżeli nie najpiękniejszą w księstwie genueńskiem, na wybrzeżu morza Śródziemnego, dokąd prowadziły schody wspaniałej willi, którą zamieszkiwał latem, kiedy korsarze algierscy, ukryci za skałami, rzucili się na niego, pokonali liczbą jego rozpaczliwy opór; zostawili go, myśląc, że nie żyje, na placu boju i porwali księżnę, wtedy brzemienną, unieśli, nie zważając na jej krzyki, do łodzi, która oddaliła się szybko, pchana mnóstwem wioseł i połączyła się z galerą kapitana, ubezpieczoną w przystani. Matka moja, przedstawiona dejowi, podobała mu się i została jego faworytą..."

Vallombreuse, robiąc również w żartach na złość Izabelli, zamknął oczy i przy tym zajmującym ustępie udał, że śpi.

Sen Vallombreusa, naprzód zmyślony, stał się wkrótce prawdziwym, a młoda dziewczyna, widząc, że drzemie, wysunęła się na palcach.

Rozmowa, w której książę zdawał się mieć jakąś złośliwą intencję, wprawiła Izabellę w pewne pomięszanie.

Czyżby Vallombreuse, chowając w sercu tajoną urazę do Sigognaca, mimo, że nazwiska jego nie wymówił od najazdu na zamek, zamierzał postawić małżeństwo, jako nieprzezwyciężoną przeszkodę pomiędzy baronem i swoją siostrą? albo może chciał po prostu wiedzieć, czy aktorka przekształcona na hrabinę, nie zmieniła uczuć wraz z pozycją?

Izabella nie mogła znaleźć odpowiedzi na te dwa znaki zapytania, snujące się naprzemian po jej rozmarzonej głowie.

Skoro była siostrą Vallombreusa, współzawodnictwo Sigognaca i młodego księcia upadało samo z siebie; ale z drugiej strony trudno było przypuścić, żeby charakter tak dumny i mściwy, zapomniał o hańbie pierwszej porażki, a szczególniej drugiej. Jakkolwiek stosunki zmieniły się, Vallombreuse musiał w głębi duszy nienawidzieć Sigognaca.

Gdyby nawet miał w sobie tyle wielkości duszy, by mu przebaczyć, wspaniałomyślność nie wymagała, żeby go kochał i przyjął do swojej rodziny. Trzeba było wyrzec się nadziei pojednania.

Zresztą stary książe nie mógłby nigdy patrzeć z przyjemnością na tego, z czyjej przyczyny życiu syna zagrażało niebezpieczeństwo. Te rozmyślania wprawiły Izabellę w stan melancholji, z której naprożno starała się otrząsnąć.

Dopóki jako aktorka uważała się za przeszkodę do karjery Sigognaca, odpychała wszelką myśl związku z baronem; ale teraz, kiedy niespodziany zwrot w losach darzył ją wszystkiem, czego zapragnąć można, chciałaby wynagrodzić ofiarowaniem swej ręki tego, kto ją o tę rękę prosił, kiedy była biedną i pogardzaną. Uważałaby się prawie za nikczemną, nie dzieląc swojej pomyślności z towarzyszem niedoli.

Ale w tej chwili mogła tylko zachować mu niezachwianą wierność, bo nie śmiała przemówić za nim ani do księcia, ani do Vallombreusa.

Wkrótce potem książę miał się już tak dobrzo, że mógł obiadować przy jednym stole z ojcem i siostrą; okazywał wtedy głębokie poszanowanie dla księcia, tkliwość delikatną dla Izabelli i dowodził mimo pozorną lekkomyślność, że ma umysł bardziej wykształcony, niżby przypuścić można w młodym człowieku, oddanym kobietom, pojedynkom i wszelkim zabawom.

Izabella mięszała się skromnie do tych rozmów, ale to co mówiła było tak słuszne, tak subtelne i w porę przewidziane, że książę był zachwycony, tem więcej, że młoda dziewczyna omijała z doskonałym taktem przesadę i pedanterję.

(Ciąg dalszy nastąpi).

angażowaną została do Lwowa na sezon operowy. Pani Pascalis zamierza założyć we Lwowie szkołę śpiewu.

Kupno majątku. Włościanie wsi Komorniki w powiecie tureckim, wraz z proboszczem swoim ks. Szczęsnym Salamonem zakupują cały obszar dworski na swoją własność od p. Strzeleckiego, prezesa tureckiej rady powiatowej za cenę 75.000 zł.

Spór graniczny. Radzca budownictwa p. Matula przydzielony do krakowskiego Starostwa, wyjechał do Tatr, na granicę węgierską, by wziąść udział w komisji, która odbędzie się na miejscu w sprawie sporu granicznego i uregulowania granicy galicyjsko węgierskiej.

Zjazd archeologów. Wczoraj popołudniu odbyło się — według programu, pierwsze posiedzenie zjazdu archeologów w tutejszej politechnice pod przewodnictwem prezesa dr. Józefa Mayera.

Na porządku dziennym były prelekcje pp. Gotfryda Ossowskiego i Wojciecha hr. Dzieduszyckiego.

Pierwszy z prelegentów mówił na temat: czy istnieje charakterystyczna różnica między wykopaliskami na Rusi, a na porzeczu Wisły.

Wykazawszy cechy wykopalisk na porzeczu Wisły i cechy wykopalisk na Rusi na podstawie okazów, znajdujących się na wystawie, porównał je, wykazał podobieństwa i różnice, poczem następującym wnioskiem odczyt swój zakończył: Porzecze Wisły i Galicja wschodnia były równocześnie zaludnione; czy ludy te stanowiły jeden typ, tego stanowczo orzec niepodobna; można tylko twierdzić stanowczo, że istniały różnice lokalne.

Drugi prelegent, Wojciech hr. Dzieduszycki, znany badacz zabytków archeologicznych i dziejów sztuki w ogóle, który dotychczas poświęcił już siedm lat pracy w tym kierunku wyłącznie, mówił o rozwoju sztuki na Rusi. Prześliczny i wyczerpujący był to wykład, ujęty w całość doskonałą, w szczegółach najdrobniejszych opracowany znakomicie. Jednakże właśnie dla mnóstwa tych szczegółów przystępny był on jedynie dla specjalnych badaczy i miłośników umiejętności archeologji, dla obznajomionych gruntownie z historją sztuki wogóle. Prelegent mówił głównie o rozwoju sztuki kościelnej na Rusi i przebiegł wszystkie jej działy: budownictwo, rzeźbiarstwo i malarstwo, wykazując w każdym dziale pochodzenie, (głównie ze wschodu drogą pośrednią przez Włochy z wpływami zachodniemi) i dalszy rozwój na gruncie tutejszym.

Wykład ten, przyjęty gorącemi oklaskami podzięki ze strony zgromadzonych, powinien pojawić się w druku, jako rzecz ciekawa i mająca rzetelną wartość naukową.

Wieczorem, jak opiewał program, odbyła się w salonach Koła literackiego uczta, w której wzięli udział wszyscy zaproszeni.

Dziś z rana o godzinie 6. liczne grono uczestników zjazdu wybrało się koleją do Bohorodczan dla obejrzenia wykopalisk i zabytków historycznych na miejscu.

Hugh Brown, poeta szkocki, zakończył życie w Glasgowie, w wieku lat 85. Pierwsze jego utwory ukazały się przed 60-iu laty. Był on nauczycielem wiejskim, a później utrzymywał się z wsparcia dobroczyńców i przyjaciół.

Maestro Verdi jest nietylko znakomitym kompozytorem, ale także wielkim filantropem. Buduje on obecnie w willi Novo d'Arda wielki szpital, będący już na ukończeniu. Towarzystwu dobroczynności w Busseto ofiarował niedawno 16.000 fr. na legata i 6000 na wsparcia. Oprócz tego Verdi, będący zarazem właścicielem dóbr ziemskich, opuścił wszystkim swoim dzierżawcom z powodu nieurodzaju 10% od płaconej przez nich dzierżawy.

Sara Bernhardt podpisała kontrakt, zobowiązujący ją do 225-iu występów w Ameryce północnej i południowej za wynagrodzeniem 2000 fr. od występu, oraz procentu od przewyżki dochodu ponad oznaczone minimum. Występy rozpoczną się dnia 1go maja roku przyszłego i trwać mają przez rok.

Dwaj książęta lekarze. W świecie lekarskim uzyskał już sławę dr. medycyny książę bawarski Karol Teodor, który poświęca się okulistyce. Obecnie za przykładem tym poszedł także książę bawarski Ludwik Ferdynand, najstarszy syn zmarłego ks. Adalberta i kuzyn króla Ludwika II go, który po otrzymaniu doktoratu osiadł w Nymphenburgu. Ks. Ludwik Ferdynand liczy obecnie 26 lat i ożeniony jest z księżniczką Marją de la Paz, infantką hiszpańską.

Śmiech dla łez. Humorystyczne wydawnictwo zbiorowe warszawskie na rzecz pogorzelców Grodna ukazało się w kandlu księgarskim i przedstawia się wcale dobrze.

Okradzenie kościoła. W nocy na 5. b. m. dobył się niewyśledzony dotąd sprawca przez podważenie drzwi sztabą żelazną do kościoła parafjalnego obrz. łac. w Dolinie, a rozbiwszy cztery skarbonki, zabrał z nich około 230 zł., mianowicie 70 zł. banknotami 1reńskowemi, 50 zł. 10reńskowemi, kilka banknotów 5reńskowych, a resztę monetą srebrną. — Trzy skarbonki zabrał sprawca ze sobą, a czwartą oraz sztabę żelazną (którą drzwi świątyni podważył) pozostawił na miejscu.

Jak z dochodzenia dotychczasowego wypływa, kradzież tę popełniono około godziny pierwszej po północy, a indywiduum mocno o tę zbrodnię podejrzane i zostające od dłuższego czasu pod nadzorem policyjnym zostało przyaresztowane.

Wypadki. Nagłą śmiercią w skutek ataku apoplektycznego zmarł onegdaj w łazienkach na Żółkiewskiem robotnik niewiadomego nazwiska. — Karol Pstrąg, rzeźnik, w uniesieniu ugodził swego zięcia tak silnie w pierś, że skaleczonego musiano odwieść do szpitala; Pstrąg zbiegł i jest poszukiwany. — W hotelu czerniowieckim przy ul. Kazimierzowskiej skradziono kupcowi A. Tuchowi konie z wozem w samo południe.

Defraudacja. Pocztmistrz w Słotwinie pow. bohorodczańskiego, Jan Pieniążkiewicz, sprzeniewierzywszy z kasy pocztowej dość znaczną kwotę, zbiegł dnia 30. z. m. w niewiadomym kierunku i jest sądownie ścigany.

Zbieg. Piętnastoletni uczeń gimnazjalny Ignacy Rewaczek z Marastowa w Galicji został przytrzymany w Wiedniu na dworcu w chwili kiedy wysiadał z pociągu kurjerskiego kolei północnej, i odstawiony do kolejowej ekspozytury policji. Wkrótce potem skonstatowano w drodze telegraficznej, że chłopak ten wykradł wujowi swojemu (Wasylowi Michałkowi z Marastowa) 120 zł. i uciekł z nią do Wiednia. Znaleziono przy nim jeszcze 76 zł.

Mimi Lepreux najsłynniejszy pick-pocket paryski zmarł w tych dniach. Dzienniki z raportów policyjnych opowiadają istotnie zadziwiające rzeczy o zręczności i zuchwalstwie tego słynnego złodzieja kieszonkowego. Rocznego dochodu z swoich „operacyj" mógł mieć do 15.000 franków. Był przy tem nader dobroczynnym dla ubogich i nader liberalnym w obec swoich uczni, młodych i niewprawnych pick-pocketów. Przy każdej większej kradzieży, zatrudniał zawsze około tuzina „małych". Oni wskazywali mu tylko ofiarę, zatrudniali jej uwagę, podczas gdy Mimi Lepreux z nadzwyczajną zręcznością uwalniał ją od zegarka, pugilaresu, nawet pierścionków i t. d. Jak się to praktykowało niech opowie przykład następujący. Mimi Lepreux wałęsa się po bruku, upatrując kogoby pożreć. W tem zbliża się doń mały obdartus i szepce: Ten siwy jegomość ma gruby pugilares w prawej kieszeni pantalonów. Dobrze, odpowiada Mimi, dostaniesz franka. Po upływie dwóch minut już pugilares jest w ręku pick-pocketa. Ale tylko przez chwilę. Przelatuje on z rąk do rąk tu czekających innych małych pick-pocketów lotem błyskawicy i po upływie następnych pięciu minut już jest w bezpiecznem ukryciu. Tak więc, gdy nawet spostrzeżono, że Mimi popełnił kradzież, wychodził on zawsze „czysty" z afery, albowiem nigdy nie znaleziono przy nim rzeczy skradzionej. Mimi Lepreux pozostawił żonę i dwoje dzieci, dobrze zaopatrzonych.

Kradzież 30,000 zl. W lipcu roku zeszłego powszechną sensację wzbudziła w Wiedniu kradzież 30.000 zł, dokonana przez podłożenie paczek drewnianych, wypełnionych cegłami i nieużytemi papierami, w miejsce takichże paczek zawierających banknoty. Zuchwałą tę kradzież popełniono w drodze między Pesztem a Wiedniem. — Obecnie donoszą dzienniki wiedeńskie, że mimo najusilniejszych poszukiwań nie udało się dotychczas wykryć sprawców czy też sprawcy tej kradzieży, i prokuratorja państwa wniesie o zaniechanie dalszego śledztwa.

Eksplozja gazu, która wywołała następstwa istotnie straszliwe, miała miejsce w zeszłą sobotę w jednym z prywatnych teatrów amatorskich w Berlinie. Teatr ten zowie się „Urania" i mieści się przy ulicy Wrangla. — Miano grać dwie sztuczki „Filiżanka herbaty" i „Kanonier w ogniu". — Publiczności było do 300 osób.

Kiedy rozpoczęto drugą sztuczkę, a ulubiona w kołach dyletanckich amatorka Anna Schaff, grywająca subretki, wstąpiła na scenę, usłyszano huk przerażający, drzwi od garderoby na scenę prowadzące wyleciały w powietrze i wpadły do amfiteatru, stoły i stołki na scenie wywróciły się nagle. Powstało okropne zamięszanie, wszystko wśród krzyku iście piekielnego poczęło cisnąć się ku wyjściu. — Wiele osób zostało ranionych i popalonych, zwłaszcza w garderobie, gdzie nastąpił pierwszy wybuch gazu, który był wypłynął z uszkodzonej rury przewodniej.

Skutkiem wybuchu wszczął się był i pożar, który jednak przez przybyłą zawczasu straż ogniową zlokalizowany został.

(=) **Kraków** 9. września. *(Koresp. Przegl.).* W chwili, gdy przedstawiciele nasi doznawali tak serdecznego przyjęcia na Węgrzech, Kraków gościł w swoich murach poważne grono ośmdziesięciu i kilku inżynierów i architektów wiedeńskich, którzy w tym roku obrali sobie Kraków za punkt towarzyskiej i naukowej wycieczki. Liczne budowle prastarej stolicy, które kryją w sobie tyle bogactwa i piękna artystycznego, dalej liczne i wspaniałe zbiory, a wreszcie piękne okolice Krakowa były dostatecznym przedmiotem zajęcia uwagi inteligentnych podróżników i wywarły też na nich wielkie wrażenie. Zajmujący się przyjęciem gości komitet, złożony z techników krakowskich, poczynił nadto wszystko, by kolegom swoim wiedeńskim ułatwić dokładny przegląd godnych widzenia osobliwości i uprzyjemnić im krótkie chwile pobytu w naszym grodzie. W tym celu urządził też komitet w pierwszym dniu pobytu gości wiedeńskich wycieczkę na kopiec Kościuszki, a następnie na Bielany, gdzie znaleźli gościnne przyjęcie w klasztorze OO. Kamedułów. Wieczorem nastąpił w hotelu pod „Różą" wspaniały bankiet, a nazajutrz podziwiali goście wiedeńscy podziemne bogactwa Polski — Wieliczkę, której kopalnie i czarujące widoki rzęsiście oświetlono. Tu w podziemiach miał też miejsce bankiet, w czasie którego uczczono JE. ministra skarbu toastem. Goście wiedeńscy opuścili wczoraj Kraków, unosząc ze sobą bardzo miłe wspomnienie. Takie zetknięcie ludzi pracy zawodowej, chociaż różnych narodowości, godnem jest pochwały, bo stwarza samo przez się zbliżenie i usuwa wiele uprzedzeń, które przy dzisiejszym antagonizmie narodowościowym przynoszą tylko wzajemne szkody. Gdy w rozniecaniu owych antagonizmów bierze zwykle wybitny udział inteligencja, dobrze jest, gdy z grona tej inteligencji wychodzą także inne objawy, dodatniej natury.

— Sprawcę morderstwa ś. p. Bałuckiej już wykryto i uwięziono. Jest nim... kobieta, niejaka Seweryna z Płuteckich Łabendziowska, żona introligatora, 38 lat licząca, mająca realność w Krzeszowicach, którą niedawno kupiła była. Jakiemi drogami szła policja, mianowicie p. Swolkień, komisarz, by wykryć zbrodniarkę, to w wielu częściach jest jeszcze nieznanem, faktem jest jednak, że znaleziono u Łabendziowskiej w Krzeszowicach szal, okrycie i kolczyki zamordowanej, dalej znaleziono u stróżki na Kleparzu, gdzie Łabendziowska przenocowała, prześcieradło zamordowanej i żelazko z duszą, którą Łabendziowska śmierć Bałuckiej zadała, uderzając ją w skronie; wreszcie znaleziono w Kasie oszczędności srebrne przedmioty, które Łabendziowska, zrabowawszy u Bałuckiej, zastawiła. Zbrodniarka miała przystęp do nieboszczki z tytułu znajomości i zaufania, którego już raz była nadużyła wymusiwszy od niej groźbą 3.000 złr., za które realność w Krzeszowicach kupiła. I tym razem widocznie chciała coś wymódz na ofiarze, a gdy się nie dało, targnęła się na jej życie. Zbrodniarka jest silnie zbudowaną i wysoką, oblicze nad wyraz wstrętne, na sukniach jej znaleziono ślady krwi.

ROZMAITOŚCI.

Szczury opuszczają tonący statek. Jeden z urzędników pruskiej marynarki opowiada następujące zdarzenie:

Staliśmy w porcie liwerpulskim. Ładunek naszego statku został już uprzątnięty, a nowy, to jest sól, mieliśmy zawieść do Gdańska. Było to pod koniec listopada. Na trzy dni przed ruszeniem na pełne morze otrzymała cała załoga zaliczki i udała się do miasta, ażeby się trochę zabawić. Na statku pozostaliśmy we trzech tylko: kapitan, cieśla okrętowy i ja jako sternik. — Barka nasza była już poważną weteranką służby, mogła mieć za sobą wspomnienia ze czterdziestu lat spędzonych na falach rozmaitych oceanów. Miała ona już brzydki zwyczaj wciągania wody podczas burzy, a że sól była na statku, żywiłem pewne obawy co do losu przyszłej wyprawy. Kapitan jednak był innego zdania, bo kiedym mu się zwierzył, rzekł mi całkiem obojętnie: „Jakoś to będzie!"

Wieczorem powrócili majtkowie na okręt. Rozmawiając o przyszłej podróży, podzielali w zupełności moję niepewność. Kapitan uspakajał ich jednak, w czem i ja z obowiązku dopomagać musiałem. — Kiedy noc już zapadła głęboka, zeszliśmy z kapitanem do kajuty na grog, poczem wkrótce ja ułożyłem się do snu, o wiele wcześniej od mego kapitana, który — ciągle przy grogu siedząc — składał dowody, że jest na wszelką wilgoć nieczułym.

Naraz czuję we śnie, że mnie ktoś szarpie. Rozmarzony pytam, co to znaczy, i odbieram przerażającą odpowiedź: „Hej, sterniku! szczury puszczają nas w trąbę!"

Zerwałem się z hamaka na równe nogi. Odpowiedź cieśli okrętowego, który równie przestraszony stał przedemną, obudziła mnie w okamgnieniu. Byłem bowiem równie zabobonny jak wszyscy żeglarze. Pospieszyłam na pokład, a tu przedstawił się oczom moim widok niezwykły: Księżyc świecił tak jasno, że można było dokładnie obserwować szarych, dość nieprzyjemnych gości, jak wyłaziły z przeróżnych dziur okrętu i maszerowały prościuteńko na belki, stanowiące pomost między statkiem a lądem. Gdybym własnemi oczyma nie widział, byłbym nigdy nie uwierzył, że barka nasza takie mnóstwo szczurów mieścić może. Nieprzyjemne to stworzenia, a przecież byłbym nie wiem co dał za to, gdyby pozostały z nami.

Majtkowie przypatrywali się temu widowisku ze strasznem przerażeniem. Nie mówili już nic, ale fizjonomje ich świadczyły wyraźnie, że myśleli o tym fakcie jak najgorzej. Pokazało się to niebawem, albowiem jeszcze w ciągu tej samej nocy cała nasza załoga, z wyjątkiem cieśli, „urządziła nogę". Byłbym i ja chętnie poszedł za jej przykładem, ale nie mogłem kapitana zostawić w takim kłopocie.

Po kilku dniach udało się nam zwerbować nowych ludzi i nareszcie wypłynęliśmy z portu. — Robiłem najsmutniejsze przypuszczenia, tem bardziej, że nowa załoga strasznie mi się nie podobała. Byli to ludzie z jakąś dziką rezygnacją, gotowi na wszystko. Już samo to, że przyjęli służbę na okręcie, o którym wiedzieli, że jest opuszczony przez szczury — co uchodziło u marynarzy za znak najfatalniejszy — świadczyło o tych ludziach najgorzej.

Wbrew moim obawom podróż szła bardzo dobrze. Mimo późnej pory roku mieliśmy prześliczną pogodę; wiatr nam sprzyjał, przepłynęliśmy już morze irlandzkie, kanał La Manche i wybiliśmy się na morze północne. Zaczynałem już drwić z mojej zabobonności, a kiedy barka pruła gładkie jak zwierciadło fale morza północnego, kapitan mój, śmiejąc się, rzekł tryumfująco: „Widzisz, jak sunie!"

Tak przepłynęliśmy Skager Rak i Kategat.

Szliśmy równolegle do brzegów, gdy raz stojąc w kajucie, dostaję nagle silne uderzenie i upadam jak długi na podłogę. Zerwawszy się, pobiegłem na pokład. Stanęliśmy. Niebezpieczeństwa nie było żadnego, zwłaszcza że znajdowaliśmy się w odległości może trzech mil od lądu. Atoli spokój nasz miał nie trwać długo. Sprzyjająca nam dytychczas pogoda zmieniła się nagle. W przeciągu pół godziny spadła gęsta mgła, a woda — jak zawsze przed zbliżającą się burzą — pokryła się pianą. Nie upłynęło drugie pół godziny, a już nadbiegła szalona burza, wyjąc straszliwie i rzucając bałwanami na statek nasz, stojący nieruchomo na miejscu.

Cieśla, który zeszedł na spód okrętu, powrócił z raportem, że już jest pięć stóp wody na spodzie. Okręt zaczynał się kłaść. Jeden z majtków otrzymał rozkaz pilnowania czółna, ażeby można było każdej chwili na nie wskoczyć. Tak podczas burzy upłynęło znowu pół godziny. Woda dochodziła już do ośmiu stóp.

Ha, teraz już nie było ratunku. Rozkaz kapitana brzmiał: „Cała załoga do łodzi!" Ściągnięto więc linę.... ściągnięto ją bardzo lekko, bo łodzi na niej nie było. Przerażenie malowało się na wszystkich twarzach... pokład statku był ścianką między życiem a śmiercią. Załoga nasza — jak rzekłem — była dziką w rezygnacji; wszyscy też wzięli się do rumu, żeby się upić na śmierć. Ja wszakże stałem na wielkim maszcie i z trwogą spoglądałem na rozpasanie strasznego żywiołu, dumając nad tem, że szczury opuściły naszę barkę.

Nagle okręt, zamiast opadać, począł iść w górę. Burza przetarła mgłę. Ludzie otrzymali rozkaz pompowania wody. Okręt mimo ośmiu stóp wody na spodzie szedł dalej i zwycięsko przetrwał burzę. — Po czternastu dniach jeszcze ustawicznej i natężonej pracy zdążyliśmy ostatecznie do portu.

Tym razem więc szczury nie miały racji.

— **Dla palaczy cygar hawańskich** niezbyt pocieszająco brzmi sprawozdanie konsula jeneralnego angielskiego na wyspie Kubie. Według sprawozdania tego większa część cygar kupowanych w Europie, jako hawańskie, nie ma nic wspólnego z niemi, albowiem od r. 1881 zbiór liści tytoniowych na Kubie zupełnie się nie udaje. Nadto przy zawieraniu umów nabywcy mają przed sobą liście tytoniowe w próbnych skrzynkach, nadsyłane zaś im następnie cygara nigdy prawie nie są robione z obranego przez nich gatunku liści. Prawdziwe cygara hawańskie bywają i na miejscu bardzo drogie i 30 złr. za setkę jest najniższą ceną.

Tegoroczne zbiory liści tytoniowych przedstawiają się o wiele pomyślniej.

— **Zmarły pułkownik Bunbury,** dowodzący kawalerją w Anglji, oskarżony był, że pułk jego nader hulaszcze życie prowadzi. Jenerał inspektując pułk, zastał wszystko w porządku: „Muszę ci jednak wyznać, pułkowniku — rzekł, wychodząc — że doszły mnie słuchy, jakoby twoi oficerowie szulerstwu się oddawali." „Mogło to być dawniej, parę miesięcy temu, jenerale, odpowiedział pułkownik — mogę teraz zapewnić, że nic podobnego się nie dzieje, wygrałem bowiem gotówkę od całego pułku i nigdy bym nie pozwolił grać na kredyt."

— **Oryginalny order.** Pewien dyplomata amerykański, który przedstawia w Watykanie cztery małe Stany południowe, zyskał sobie do tego stopnia względy Leona XIII., iż Ojciec św. obdarzył go kolejno wszystkiemi swojemi orderami. Przed niedawnym czasem, dyplomata wyświadczył kurji wielką przysługę, za którą zasłużył znów na order. Ministrowie Papieża byli w wielkim kłopocie ze względu, iż mąż stanu posiadał już wszystkie rozporządzalne ordery, aż nareszcie Ojciec św. sam zaradził złemu i polecił ofiarować dyplomacie tabakierkę z portretem swoim. Jakoż dygnitarz otrzymał niebawem złotą tabakierkę z kosztownym medaljonem, zawierającym wizerunek Leona XIII. Obdarowany kazał medaljon wyjąć, przytwierdzić do złotego łańcucha, włożył go na szyję i tak udał się do Ojca św., aby mu złożyć podziękowanie za otrzymany podarunek.

Gdy dyplomata amerykański — uzyskawszy audjencję, oddalił się. Leon XIII., zwracając się do jednego z kardynałów, zauważył: „Przy najbliższej sposobności ofiarujemy mu stół marmurowy, ciekaw jestem, czy też ten dar zawiesi sobie na szyi?..."

— **Usłużny współpasażer.** Oficer austrjacki jadąc z Dux do Pragi, wskutku nader wysokiej temperatury w wagonie, przeprosiwszy siedzącego razem z nim jegomości, zdjął mundur, zastąpił go krótką kurtką, zamiast wysokich butów włożył pantofle, a głowę przyodział w lekką czapeczkę podróżną. Na jednej ze stacji wyszedł na chwilę z wagonu, w tem rozległ się trzeci dzwonek i oficer zdążył zaledwie wskoczyć do jakiegoś pustego przedziału w wagonie. Tymczasem towarzysz podróży oficera w przypuszczeniu, iż ten ostatni pozostał na stacji, chcąc mu dogodzić, wyrzucił przez okno mundur, szablę, buty, czapkę wojskową i mały ręczny kuferek... Na następnej stacji oficer powrócił do swojego przedziału, gdzie nader niemile zdziwiony został zbytnią uprzejmością współpasażera. Dano znać telegrafem i wyrzucone rzeczy znalazły się na szczęście.

Część ekonomiczna.

Najtańsze woreczki na tytoń. Używanie pęcherzy do noszenia tytoniu sięga prawdopodobnie daty ustalenia się zwyczaju samego palenia. Od tego czasu nie zaprowadzono na tym punkcie żadnej zmiany. Skromny pęcherzowy woreczek, zwany w języku ludowym „kapciuchem", nie przestaje ani na chwilę cieszyć się uznaniem wśród zachowawczej partji „fajczarzy." Bo też trudno tu wymyślić coś praktyczniejszego. Szabla bez pochwy, a cybuch bez kapciucha, to... panie mdziu jakoś nie idzie! Najlepiej kwalifikują się do tego celu pęcherze wieprzowe. Wyprawiają się w następujący sposób: do kwarty wody dolać lub dodać mniej więcej ośm łutów potażu; moczyć w nim pęcherz, nacierając zewnętrzną jego powierzchnię drewnianą pałeczką w celu ułatwienia dokładnego wygryzienia się potażu; przewrócić pęcherz na wywrót i powtórzyć tę samą operację ze stroną wewnętrzną. Wydobyć i moczyć przez trzy godziny w zwyczajnej zimnej wodzie, zmieniając ją od czasu do czasu, jeśli moczenie odbywa się w małem naczyniu. Po upływie tego czasu wydobyć, wyżąć i moczyć znowu przez jaką godzinę, tym razem w lekkim wodnym roztworze soli kuchennej i ałunu. Ostatecznie wydobyć, przepłukać, wycisnąć, nadąć i zawiesić na otwartem powietrzu do wyschnięcia. Założenie ściągadła pozostawiamy już własnej intuicji osób interesowanych, jako nie przedstawiające żadnej trudności.

Wiedeń 8. września.

(Di) Przebieg dzisiejszej giełdy świątecznej był zupełnie spokojny przy usposobieniu dość silnem. Przedmiotem targu były tylko akcje kredytowe i węgierska renta złota, z których pierwsze doszły ostatecznie do wysokości 287, druga 99·10.

Telegramy biura korespondencyjnego.

Wiedeń 10. września. Uroczyste otwarcie parlamentu Mową Tronową nastąpi dnia 26-go bież. miesiąca.

Wiener Ztg. ogłasza ustawę o warunkach nowej koncesji dla kolei Północnej i deklarację w sprawie Kongo.

Fremdenblat nazywa wszystkie domysły o budżecie austrjackim na r. 1886 przedwczesnym domysłem, gdyż jeszcze nie ukończono zestawienie tego budżetu.

Berno 10. września. Rada Związkowa wydaliła 5 anarchistów (między nimi 4 austrjaków, a 1 bawarczyka), ponieważ zagrażali wewnętrznemu i zewnętrznemu pokojowi, zakłóciwszy w gwałtowny sposób, a pod przybranemi szwajcarskiemi nazwiskami publiczny porządek.

Celowiec 10. września. Wczorajsze manewry trwały sześć godzin. Najj. Pan wraz z arcyksiążętami i świtą był do samego ich końca. O pół do 2. powrócił Najj. Pan do Celowca.

Wieczorem o godzinie 6. podano u Najj. Pana obiad na 39 osób. W ciągu obiadu przygrywała kapela miejscowego pułku. Po obiedzie nastąpił cercle.

Berlin 10. września. Donoszą z Kielu, że dwie łodzie torpedowe w pełnym ruchu wpadły na siebie i wskutek tego zatonęły w Lagelandzkim Belcie, przyczem dwu maszynistów utraciło życie. Wysłano zaraz dwa parowce, które mają czynić poszukiwania za zatopionemi łodziami.

Wedle rozporządzenia ministra spraw wewnętrznych, nie dotknie ustawa wyjątkowa tych rosyjskich i galicyjskich poddanych, którzy dla dziennego zarobku, albo też dla prowadzenia interesów będą przybywali do Poznańskiego i Szląska pruskiego.

Paryż 10. września. Nieprawdą jest, jakoby Freycinet dał odmowną odpowiedź Salisbury'emu, który proponował mu ustną wymianę zdań.

Do *Temps*'u donoszą z Madrytu: Garnizon madrycki stoi ciągle w pogotowiu. Zaostrzono policyjne środki. Mimo to w stolicy panuje spokój.

Madrycka depesza konstatuje, że z Manilli nie otrzymano żadnej wiadomości. Admirał Antequera objął naczelną komendę hiszpańskiej floty balearskiej. Prezes rady ministrów oświadczył w senacie, że rząd, chcąc uniknąć konfliktu obudwu Izb, przyjmuje zatwierdzony przez parlament projekt emancypacji niewolników. To wzmocniło pozycję gabinetu.

Berlin 10. września. Madrycki telegram *Times'a* o piśmie, które wystosował wrzekomo cesarz niemiecki do króla hiszpańskiego, uważają w kołach dobrze poinformowanych za tendencyjny wymysł.

Paryż 10. września. Z Hue donoszą: Cholera ustała już w całym Tonkinie, wyjąwszy Pfulanthuong. W samem Hue zdarzyło się wprawdzie kilka wypadków cholery, ale te ustają dzięki rozprószonej dyslokacji wojsk.

Madryt 10 września. W całej Hiszpanji panuje całkowity spokój. Oficjalnie jest wiadome, że niemiecki parowiec „Jetis" 7 b. m. przybył do Manili, następnie udał się do Singapore i spotkał w drodze parowiec „Velasco", który przed Yapem spoczywał na kotwicy.

Londyn 10. września. Do *Standardu* donoszą z Petersburga: Anglja akceptowała formalnie propozycje rosyjskie, dotyczące przełęczy culfikarskiej. Treść odnośnej ugody zapisano natychmiast w protokole.

Telegramy „Przeglądu"

na własnym drucie.

Wiedeń 10. września. Wszystkie gminy dolno-austrjackie zostały zawezwane rozporządzeniem namiestnictwa do czuwania nad tem, aby cudzoziemcy, a szczególnie poddani niemieccy posiadali zawsze należyte dokumenta, w przeciwnym zaś razie należy ich wydalać. Jako przyczynę tego rozporządzenia podają rozejście się rokowań ministerstwa spraw wewnętrznych z rządem niemieckim o rewizję ugody z r. 1875 dotyczącej przyjęcia dawniejszych przynależnych do obu państw.

Z Schwarzenau donoszą do tutejszych dzienników, że wczorajsza konferencja w Schwarzenau, w której wziął udział hr. Taaffe wraz z dwoma członkami gabinetu, miała mieć na celu przeniesienie br. Conrada na posadę namiestnika Tyrolu i oddanie teki oświaty br. Widmannowi.

Zbiegły z Syberji Karol Lerch, został przytrzymany w Hartburgu. Podaje on, że jego ojciec był pułkownikiem w Pradze, i że on tam się urodził. Następnie był kapelmistrzem w Warszawie i brał udział w ostatniem polskiem powstaniu, za co skazany został na ciężkie roboty w Syberji.

Presse donosi: Do wielu zmyślonych wieści rozszerzanych ostatniemi dniami zalicza się także wiadomość, że Sejmy nie będą w tym roku zwołane. Jak się dowiadujemy z pewnego źródła, nie ma ta wiadomość żadnej podstawy, Sejmy bowiem odbędą w tym roku tak jak zwykle swe sesje.

Praga 10. września. Austrjaccy duchowni przygotowują zbiorowy memorjał do rządu z prośbą o istotną zmianę ustawy kongrualnej.

Marsylja 10. września. „Ville de Malaga," należący do tutejszego towarzystwa żeglugi parowej Morelli i Spka, po odpłynięciu z 66 pasażerami, 28 majtkami i 110 wołami przetrwał na morzu straszliwą burzę i wreszcie rozbity prawie wylądował w Savonie. Podług nadeszłej depeszy kapitana okrętu brakuje 46 pasażerów i dwóch majtków.

Berlin 10 września. Wysoce półurzędowe *Polit. Nachrichten* piszą: Jak się dowiadujemy, ani nie nadeszła dotąd ze strony Hiszpanji odpowiedź na propozycją zwołania sądu polubownego, ani nie poruszono jeszcze kwestji zadośćuczynienia za antiniemieckie ekscesa madryckie.

Paryż 10 września. Podług doniesień prywatnych z Madrytu, ma być sytuacja króla Alfonsa bardzo niebezpieczna, wybuch rewolucji jest bardzo bliski.

Na odbytem wczoraj zgromadzeniu robotników w Lyonie przemawiali tylko anarchiści. Większość złożona z fabrykantów tkanin jedwabnych zaprotestowała przeciw mięszaniu się żywiołów anarchicznych do ich spraw.

Petersburg 10. września. (>) Wczoraj, jako w dzień imienin zmarłego cara Aleksandra II., odbyło się w soborze śś. Piotra i Pawła uroczyste żałobne nabożeństwo, na którem były oddziały wszystkich wojsk gwardji ze sztandarami w krepie. Po nabożeństwie złożono na sarkofagu wieńce.

Minister wojny Wannowski wyjechał za granicę.

W etacie ministerjum spraw zagran. na r. 1886 wstawiono osobną kwotę na stałą misję dyplomatyczną w Korei i na jeneralnego konsula w Indji angielskiej.

Przyjechali do Lwowa

dnia 10. września 1885.

Hotel Georgea: L. Gulkowski z Pressburga, J. Wernicki z Lachowic, W. Gnoiński z Krasnego, K. Horodyski z Tłustenkiego, S. Szczepanowski z Słobody rungurskiej, Dr. K. Żywicki z Tarnopola, M. Jakób z Wiednia.

Hotel Francuski: E. Kulczyc-Wisłocki z Antoniowa, S. Myszkowski z Bortkowa, A. Wybranowski z Czuprynowa, Dr. M. Fränkel z Czerniowiec, O. Liboris z Stanisławowa, P. Stifter z Prachatitz, I. Kohuth z Stanisławowa.

Hotel Europejski: J. Gold z Wiednia, T. Polański z Rudnik.

Hotel Angielski: K. Gorajski z Umieszcza, W. Łukowski z Czortkowa, Dr. L. Jakobi z Wełdzierza, J. Majer z Krakowa, A. Ingwer z Sadogóry, I. Mars z Limanowy.

Hotel Krakowski: J. Jasiński z Krakowa, A. Buraczyński z Rosji, S. Daczyński z Czerniowiec, Z. Gloger z Rosji.

Hotel Langa: S. Schimmel z Przemysla, W. Becher z Wiednia, A. Schorr z Drohobycza, Felkl z Pragi.

Ruch pociągów.

Ze Lwowa odchodzą:

(Podług zegaru lwowskiego).

Do Krakowa	*10.46	4. 5	—.—	4.50	†2.25
Do Podwołoczysk	10.27	*5.56	—.—	12.35	†4. 8
„ (z Podzamcza)	10.56	—.—	*6.07	1.09	—.—
Do Czerniowiec	—.—	11.06	*6.20	12.20	—.—
Do Stryja	7.30	—.—	7.15	11.45	—.—

Do Lwowa przychodzą:

Z Krakowa	9.27	*5.36	11.33	—.—	†3.58
Z Podwołoczysk	*10.26	3.05	—.—	3.50	†2.15
(na Podzamcze)	*10.12	2.28	—.—	3.20	—.—
Z Czerniowiec	*10.05	3.35	—.—	3.30	—.—
Ze Stryja	2.30	—.—	8.25	4.35	—.—

* Gwiazdką są oznaczone pociągi pośpieszne. † Krzyżykiem pociągi kurjerskie. W obwódkach czarnych ▭ są godziny nocne, to jest od szóstej wieczór do szóstej rano.

Wiedeński kurs urzędowy

dnia 9. Września. 1885 r.

Renta pap. aust.	82·85	Akcje banku kr.	286·10
„ srebrna „	83·40	Weks. na Lond.	124.90
„ złota „	109·60	Dukaty	5.87
Losy z r. 1860	99·75	Napoleondory	9 92½
Ak. b. aus.-węg.	869·–	Mark niemiec.	61·25

Kurs giełdy wiedeńskiej.

Wiedeń, dnia 10. Września 1885

godzina 10 minut 30 przed południem.

Akcje kredyt.	287.30	Anglo-austr.	—.—
Kolej Kar. Lud.	241·20	Kolej połudn.	134·50
Unionsbank	78·50	Napoleondor	9·91
Rosyjs. bankn	1·24¼	Tytoniowe	104.—

Usposobienie: stałe.

godzina 1 minut 45 po południu.

Alpiny	38.—	Węg. akcje kr.	288.—
Anglo-austr.	99.50	Unionsbank	78.30
Kolej Kar. Lud.	241.10	Nordbahn	235.50
Kolej połud.	134·60	Kolej Alföld.	184.—
Kolej państw.	292.10	Kolej lw.-czern.	225.—
Węg. Nordostb.	175.—	Wied. Comunal	126.20
Węg. obl. p. zł.	109·25	Elbetal	161.90
Węg. cis. losy r.	123.75	Landerbank	98.60
Renta węg. 4%	99.22	Bankverein	102.—
Ros. rubel pap.	1·24	Losy węgierskie	118·75
Galic. indemn.	101.50	Marki niemiec.	–·—

Usposobienie: stałe.

Berlin, dnia 9. Września. 1885

godzina 4 minut 55 po południu.

Rosyjsk. bankn.	202·80	Akcje kredyt.	468·50
Lombardy	217.50	Galicyjskie	98.25
Pożyczka wsch.	60.80	Austr. bank.	163·35

Paryż 9. *Września.* Renta 3% 81·01.

Kurs pieniędzy i papierów publicznych.

Wiedeń 9. Września.

	płacą	żądają
$4^2/_5\%$ Renta papierowa austr.	82 85	83 —
$4^2/_5\%$ „ srebrna „	82 85	83 —
4% „ złota „	109 60	109 80
5% „ papierowa (marcowa)	99 75	99 90
4% „ złota węgierska	98 95	99 10
5% „ papier. węgierska	92 25	92 40
$4^1/_2\%$ Ostbahnowe obligi	98 20	98 50
5% Obligi pożyczki kolej. węgier.	— —	— —
$3^8/_{10}\%$ Losy z r. 1854 po 250 m. k	127 —	127 75
4% „ „ 1860 „ 500 złr.	139 25	139 50
4% „ „ 1860 „ 100 „	141 —	141 50
„ „ 1864 „ 100 „	170 25	170 75
„ „ 1864 „ 50 „	168 —	169 —
Losy Como-Renten za sztukę	43 —	45 —
Bukowińskie oblig. ind. 10% podat.	101 50	102 —
Galicyjskie „ „ „	101 50	102 —
Akcje bankowe.		
Anglo-austrjackiego Banku 200 złr.	98 75	99 25
Boden-Credit austrjacki . 200 „	224 75	225 25
Credit-Anst. dla han. i prz. 160 „	286 10	286 30
„ Bank węgierski . 200 „	287 —	287 25
Depositen-Bank . 200 „	192 —	193 —
Escompt Gesell. niż. astr. 500 „	590 —	593 —
Länderbank . 200 „	97 60	98 60
Austr.węg. Banku . 600 „	869 —	870 —
Unionbank . 100 „	78 20	78 50
Verkehrsbank ogólny . 140 „	145 —	145 75
Wied. Bankverein . 100 „	100 50	101 —
Akcje kolejowe.		
Albrechta . 200 złr. bez%	— —	— —
Alföld-Fiume . 200 „ 5%	184 —	184 50
Donau-Dampfs.-Ges. 525 „ „	443 —	444 —
Elżbieta . 210 „ „	238 —	238 50
Linz-Budweis . 200 „ „	— —	— —
Salzburg-Tyrol . 200 „ „	202 —	202 25
Ferdynanda-Nordban 1050 „ „	2350	2355
Fanciszka Józefa . 200 „ „	210 25	210 75
Gal. Karola Ludwika 210 „	240 50	240 75
Kozycko-Oderberg 200 „ 4%	149 —	149 50
Lwowsko-Czer.Jaska 200 „ 5%	225 —	225 50
Nordowest austr. . 200 „ „	166 75	167 25
„ Elbethal Lit.B. 200 „ „	158 75	159 25

	płacą	żądają
Rudolfa . 200 złr. 5%	186 —	186 50
Siedmiogrodzka I. . 200 „ „	182 50	183 —
Staats-Eisenb.Ges. . 200 „ „	291 —	291 50
Südbahn (Lombardy) 200 „ „	132 50	132 75
Theisbahn (Cisańska) 200 „ „	251 50	252 —
Węg. gal. Łupkow . 200 „ „	175 —	175 50
„ Nord-Ost . 200 „ „	175 —	175 50
„ Westbahn . 200 „ „	166 —	166 50
Listy zastawne.		
$4^1/_2\%$ Banku krajowego	— —	— —
$4^1/_2\%$ Bod. Cred. allg. złotem płatt	124 —	124 50
$4^1/_2\%$ „ „ „ papier. 50 la.	99 75	100 25
3% prem. Bod. Credit. allg.	98 25	98 75
6% Zakł. kred. krakowsk. 18 lat	99 —	99 75
7% Listy dłużne „ 20 lat	101 —	— —
6% Zakł. kred. krak. . 36 lat	99 75	99 90
$5^1/_2\%$ „ „ „ srebr. 36 lat	— —	— —
4% Gal. Tow. kred. ziem.	91 50	92 —
5% „ „ „ „ nowe 37 lat	99 40	99 90
4% „ „ „ „ „ 41 lat	88 50	89 -
6% „ Bank hipot. lwowski	101 65	102 —
5% „ „ „ „ prem.	99 —	99 50
5% „ „ „ „ 40 lat	96 —	97 —
5% Bank austr. węg. (Nation.) w. a.	103 60	104 —
5% Szląs. aust. Bod.-Credit-Anstalt	101 50	102 25
$5^1/_2\%$ Węg. Instyt. Bod.-Credit	102 90	103 50
4% „ Bank Hip. prem.	101 50	— —
Priorytety kolejowe.		
Albrechta . 300 złr. 5%	99 70	100 —
Alföld-Fiume . 200 „ „	100 20	100 50
„ „ Em. 1874 200 „ „	— —	— —
Donau-Dampfs. 100 200 „ 6%	108 75	109 50
Elżbiety za 200 Mrk. opod.	115 —	116 —
„ za 200 Mrk. nie opod.	121 80	122 —
Ferdyn. Nordb. m. kon. 5%	106 —	107 —
„ Mor.-Szląz. linia 1871/2 5%	108 50	108 90
„ poż. 1876 r. 100 złr. 5%	104 75	105 25
Franc. Józef Em. 1884 . 4%	92 25	92 50
Gal.-Karol.-Lud. 1881 300 złr. $4^1/_2$	100 40	100 70
„ Jarosław 300 „ „	100 —	100 50
Koszycko-Oderb. . 200 „ 5%	100 60	100 90
4% Lwów-Czern. Em. 1884 (10% p.)	82 40	82 80
4% „ „ 1884 (wolne od p.)	90 50	90 75
Nordwestb. austr. . 200 złr. 5%	103 80	104 20
„ „ Lit. B. 200 „ „	102 80	103 10

	płacą	żądają
Nordwb. austr. Em. 1874 200 m. 5%	128 75	— —
Rudolfa z 1884 r. . 100 złr. „	89 80	90 10
„ Salzkam. gut. zł. 200 m. „	119 75	120 25
Siedmiogrodzkiej I . 200 złr. „	99 —	99 25
Staatseisenbahn . 500 fr. 3%	196 —	197 15
Südbahn (Lombardy) 500 fr. 3%	152 75	153 —
„ „ 200 złr. 5%	128 50	128 80
Theissb.-Gesell. . 1000 „ „	108 —	108 60
Węg. gal. Łupkow. . 200 „ „	99 25	99 50
„ „ II Em. 200 „ „	99 25	99 75
„ Nordost . 300 „ „	98 80	99 30
„ „ złotem . 200 „ „	131 50	— —
„ Westbahn . 200 „ „	99 75	100 50
„ „ Em. 1874 200 „ „	— —	— —
Losy.		
4% Donau Regul. . złr. 100	114 —	115 —
Premiowe Wiedeńskie . „ 100	125 —	125 50
„ Węgerskie . „ 100	115 —	115 50
3% „ Tureckie . fr. 400	21 25	21 50
Kredytowe . złr. 100	176 50	177 —
Clary . „ 40	40 —	40 50
4% Donau-Dampfsch. „ 105	114 25	114 50
Insbrucku . „ 20	18 75	19 25
Keglewicha . „ 10	19 —	19 50
Krakowskie . „ 20	18 -	19 —
Ofner (miasta Budy) . „ 40	42 25	43 —
Palfy . „ 40	40 25	40 75
Rudolfa . „ 10	18 75	19 —
Salma . „ 40	54 —	54 50
Salzburgskie . „ 20	22 50	23 —
St. Genois . „ 40	49 25	49 75
Stanisławowskie . „ 20	24 —	24 75
$4^1/_2\%$ Tryesteńskie . „ 100	132 50	133 25
4% „ . „ 50	68 50	69 50
Waldsteina . „ 20	27 50	28 50
Windischgrätza . „ 20	38 25	38 75
Cisańskie	116 80	117 20
Czerw. krzyża	14 50	14 75
Węg. Czerw. Kryża	8 75	9 —
Serbskie	30 20	30 70

Warszawa 9. Września.

	rb.	kp.	rb.	kp.
5% Listy zastawne nowe 1869 r.	—	—	93	80
kupon	—	—	$105^2/_3$	
4% Listy likwidacyjne	—	—	89	45
kupon	—	—	$107^1/_3$	

Lwów. Z Izby handlowej, 10. Września 1885.

1. Akcje za sztukę.

bez kuponu bieżącego bez dywidendy:	płaca	żądają
Kolej galic. Kar. Lud. 200 zł. m. k.	240 —	243 50
„ lwow. czer.-jass. 200 zł. w. a.	224 —	227 —
Banku hypot. galic. 200 zł. w. a.	273 —	277 —
„ kredyt. galic. 200 zł. w. a.	225 —	230 —
2. Listy zastawne za 100 złr.		
Tow. kred. galic. 5 prc. w. a.	99 —	100 —
„ „ „ 4 „ „	90 50	91 50
„ „ „ 5 „ okres.	99 —	100 —
„ „ „ 4 „ „	88 20	89 20
Banku krajowego $4^1/_2\%$ w. a.	91 50	92 50
„ hyp. galic. 6 „ „	101 35	102 35
„ „ „ 5 „ „	96 35	97 35
„ „ „ 5 „ z 10% prm.	98 80	99 80
3. Listy dłużne za 100 złr.		
G. Z. kr. wł. (d. 6%) 3% w likw.	57 —	59 —
„ „ „ „ (d. 5%) $2^1/_2\%$ „	53 —	56 —
4. Obligi za 100 złr.		
Indemnizacyjne galic. 5 prc. m. k.	101 —	102 —
Kom. banku kraj. 5 prc. w. a. I em.	97 —	98 —
Pożyczka kraj. z r. 1873 6 prc. w. a.	102 75	104 —
„ „ „ 1883 $4^1/_2\%$ „	90 75	91 75
5. Losy.		
Losy miasta Krakowa	17 —	19 —
„ „ Stanisławowa	23 50	25 50
6. Monety.		
Dukat holenderski	5·78	5·88
Dukat cesarski	5·82	5·91
Półimperjał rosyjski	10·15	10·25
Rubel rosyjski srebrny	1·54	1·64
„ „ papierowy	1·23	1·25
100 marek niemieckich	60·70	61·40

Teatr i widowiska.

Dziś: we czwartek **Palestrant,** opera kom. w 4 aktach. pierwszy występ p. *Aleksandra Bandrowskiego.*

Jutro: **Wielki człowiek do małych interesów,** komedja w 5. aktach. Al. hr. Fredry (ojca).

Wystawa obrazów i innych dzieł sztuki urządzona staraniem tutejszego Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych, otwarta co dzień od godziny 9 z rana do 7 wieczorem w Auli ck. szkoły politechnicznej, ulica Sapiehy.

Wstęp w dnie powszednie 20 ct. od osoby a 10 ct. od dzieci, w niedziele zaś i święta 10 ct. bez różnicy wieku.

Papier z fabryki Braci Fiałkowskich & Twerdy w Bielsku i w Białej. Z drukarni Pillera i Spółki.